6750
II

Oprawiono w r. 1941.

6750

II

Słońce

Komedya w 5 aktach

napisał

Bronisław Świeżawski

Słońce.

komedya w V aktach.

napisał.

Bronimił Świeżawski.

Osoby:

Karol Witecki właściciel dóbr
Marya jego żona
Amelia ciotka żony Witeckiego.
Anna jej córka
Męcicki
Zbicki
Ramowicz adwokat
Hilary ojciec Maryi
Murytto
Trąbiński
Cybulka
Wanda jego żona.
Sikora oficyalista Witeckiego.
Adam Żabski inżynier

Piasecki obywatel
Walenty robotnik
Walentowa
Antoni

Goście - robotnicy.

Rzecz dzieje się na wsi u Witeckiego i w pobliskiem mieście. Między aktem drugim a trzecim upływa miesiąc, między czwartym a piątym rok czasu.

Prawa strona od widzów.

Akt pierwszy.

Scena przedstawia skromnie urządzony pokój na książki. Z tyłu drzwi szklanne wychodzące na balkon, po obu stronach okna. Przez drzwi i okna widać przestrzeń ulicy i kamienice z przeciwka. Drzwi na lewo i na prawo do innych pokoi. Na scenie kilka szaf z książkami, obrazy, kosz z kwiatami przy oknie, stół po lewej pełny gazet i książek, kilka foteli dokoła, po prawej kanapa.
Z ulicy słychać turkot pojazdów i zalatuje gwar uliczny.
Amelia chodzi niecierpliwie od okna do okna i wygląda na ulicę.

Amelia.

Nie przychodzi! Zawsze zagada się, chodzi z interesami, chodzi i biega za interesami. /Wygląda przez okno/ Nie - niema go, już czwarta, goście zejdą się niedługo.

(Znowu wygląda) On, czy nie on — Nie! a to nudziarz jak go malują! (Wychodzi naprzód) Słusznie utrzymuje Marynia że taki święty mąż nie dla niej. To dziwny człowiek, wszystkim robi co może, a o sobie i swojem szczęściu nie pomyśli. Ja tego nie rozumiem, a on powiada, że słabi ludzie nowej wiary nie mogą pojąć. (z oburzeniem) Cóż to ma mnie porównywać do słabych, to mi się podoba! (Idzie do okna) Nie, nie widać go jeszcze, wszak dziś jego imieniny. (Kłania się komuś na ulicy)

Od strony lewej wchodzi Anna. Ubrana modnie, przesadnie w toaletę rautową.

Anna.

Proszę mateczki jestem gotowa na przyjęcie choćby księcia.

Amelia (szybko idzie do Anny)

A — w istocie. Podobasz się więcej niż zwykle, chociaż zawsze podobasz mi się bardzo.

Anna.

Mama umie się zdobyć na komplementa.

Amelia (przygląda się Annie)

Dla ciebie nie ma komplementów, bo prawda każe tak

o tobie mówić. Ale wiesz – kamelie na ramieniu nie podobają mi się. Lepiej gdybyś u pasa kwiaty przypięła. Ramiona tak kształtnie zbudowane jak twoje nie należy zakrywać, zwłaszcza że Karol jest trochę estetykiem i nie lubi przesady w ubraniu.

Anna.

Mąż nieboszczyk lubiał bardzo kwiaty na ramieniu, więc przyzwyczaiłam się do tego.

Amelia.

Tak dla męża to robiłaś, ale obecnie powinnaś to robić co Karol lubi. Wiesz jak mężczyźni są grymaśni.

Anna.

Oto królowie grymasów. Dziś jako wdowa tak czuję się wolną i szczęśliwą, że chyba niczego więcej nie pragnę. Póki jestem młodą i piękną, spełniać będę z zamiłowaniem wszelkie obowiązki jakie wymaga zasada niesienia pomocy wszystkim nieszczęśliwym w miłości. Wolna od nadzoru męża będę pracowała dla rozwoju miłości.

Amelia.

Bardzo piękne zadanie, a przytem miłe. Dzięki losowi

mamy niezależne stanowisko, możemy nie oglądać się na śmiechy fatrzywych ludzi i swoje robić. Gdybym była młodszą i niemiała córki już dorosłej, szukałabym także miłości.

Anna.

Mam dopiero lat 28. Zresztą mama może podpierać miłość starych kawalerów.

Amelia.

To mi szczęścia nie przyniesie. Zanadto są bezczelni i odrażający. Sił żywotnych nie mają, przytem tak znudzeni życiem, że kompromitująco trzeba niera samej kobiecie iść za nimi, bo niezechce im się przyjść do niej. Zresztą najwięcej podobają się starym kawalerom smarkateczki.

Anna (poprawia w lustrze tualetę)

To może wejść mama między weteranów służby małżeńskiej i tam kilka żon zbuntować przeciw mężom.

Amelia

To Aneczko także niepraktyczne. Doświadczenie mam na sobie, gdym była jeszcze żoną przedwcześnie zgasłego męża.

Zazdrosną zrazu byłam o każdy postępek jego, a z latami
tak mi to zobojętniało, iż nawet nie pomyślałam, co mój
pan robi i gdzie chodzi.

Anna.

A więc w takim razie mama tylko będzie patrzała, jak ja bę-
dę w moim obowiązku pracowała. Powiada Karol, że ludzie
nie mają zgoła pojęcia o obowiązku, ja mu dowiodę jak
gorliwie będę spełniała, co mi Marynia poleciła.

Amelia (całuje Annę)

Dobry uczynek zrobisz, gdy Marynię poprzesz w jej usiłowaniu.
Cierpi biedaczka bardzo, a cóż winna że Karola takim ko-
chać nie może.

Anna. (z pewnym oburzeniem)

Ale sprytnie wybrała sposób poskromienia. Wchodzi pewnego
razu do ciemnego pokoiku, gdzie całem światłem są gwiaz-
dki z nieba i słyszy oddech przyspieszony kogoś siedzącego w tym
mroku i w tej ciszy. Trwoga ją ogarnia, czuje obecność zbrod-
ni przeciwko małżeństwu, bo wie, że mąż nie wyszedł i w domu
znajduje się piękna kuzynka. Zapala światło, nagle dla ow-
tej pary niespodziewanie, w świętej rozpaczy zdradzonej mał-

żonki oglądała męża z kwaśną miną i wyzywającą zy-
walkę, cha, cha, cha. /śmieje się głośno i wesoło/ To dla
mnie życie, to cel życia takie sceny przebyć, choćby przy
akompaniamencie rewolweru lub kwasu siarkowego.
Wszystko mi jedno. Żyć za długo nie chcę, więc kula ani
trucizna nie odstraszy mnie. Szukać tych, którzy chcą
kochać, a nie mają kogo i wchodzić między nieszczęśliwe mał-
żeństwa by prędzej je do otwartych kart przygotować i do wy-
powiedzenia głośno tłumionego niezadowolenia! Prawda
mamo, że to nawet chrześcijański uczynek, a dla mnie
to pokarm, to życie i szczęście!

Amelia.

Z podziwem patrzę się na ciebie. Gdybym była mężczyzną
rzuciłabym siebie i wszystko moje pod twoje nogi.

Anna.

Tylko siebie od mężczyzn żądam, niczego więcej.

Od strony lewej wchodzi Marya skromnie ale pięknie
ubrana.

Marya.

Cóż moje kochane wdowy porabiają?

Amelia.

Młoda i piękna wdowa cieszy się zwycięstwami między płcią brzydką, a stara wdowa...

Anna /przerywa/

Mateczko, jak można tak o sobie mówić.

Amelia.

Wstawione zęby i farbowane włosy zupełnie mnie do tego upoważniają.

Anna.

Przecież mama nie ma farbowanych włosów

Amelia.

Przyznam ci się, że farbuję.

Anna.

Więc w naszej rodzinie tak wcześnie siwieją? Niech mnie mama nie straszy.

Amelia.

Nie obawiaj się, nie posiwiejesz za prędko. Człowiek siwieje zawsze w sam czas. Zresztą siwizna idzie dziedzicznie po ojcu tak samo jak łysina, a twój ojciec miał do późnego wieku włosy hebanowe.

Anna.

Bo niechcę ani postwieć, ani farbować się.

Marya.

A na zęby przytażesz.

Anna.

Muszę przytać, bo mam już trzy wprawione.

Marya.

Nie wygaduj się tak głośno Anno, ściany mają uszy.

Anna.

Trzymam się tego, że lepszą jestem z wstawionymi zębami od setek takich, które własne mają.

Marya.

Zbichiewu już byś się nie podobała.

Anna. (przechadza się)

Mężczyzna kiedy już kobiecie w zęby zagląda nie przerazi się, jest już w niej po uszy zakochany. Spryt kobiety zależy od tego, kiedy pozwoli mężczyźnie bez szkody dla siebie w tajemnice się wkradać.

Marya.

Sądzę, że nigdy nie należy dopuszczać te wąsate istoty do

naszych tajemnic, albo bardzo rzadko. Oni i bez tego są nami uszczęśliwieni. Sprytna kobieta tylko wtedy powinna odkryć mężowi swoje tajemnice, gdy on dobre interesa robi i ma pełny ~~pa~~ worek, kobieta bez męża tylko wtedy, gdy wie, że tem może zobowiązać sobie mężczyznę. (Do Anny) A czy postanowiłaś czem możesz zobowiązać i przykuć Karola?

Anna (całuje Maryę)

Nie trwoż się Marynin, chodź tylko koło swego uważnie, ja potrafię dopełnić obiecanki, gdyż zdecydowałam się tu przyjechać i sprawy nie zasypiam.

Marya. (siada)

Niezmiernie powoli ten romans się wlecze. Chciałabym, żebyś ciągle była przy nim.

Amelia (odchodząc do okna)

Marynin cierpliwości.

Anna. (do Maryi)

Wszak dopiero miesiąc pracy.

Marya.

Lecz bardzo przykry i denerwujący.

Anna: Mam większą w tym względzie praktykę od ciebie

i widzę dobrze. Pan Anastazy Murytto od dawna pracuje na naszą korzyść. Ze zręcznością jakiej ci zazdroszczę zniszczyłaś w nim wszystko, co twój Karol zbudował. Przez rok pracował nad nim i z zagorzałego szlachcica zrobił handlarza, tyś go naraz przerobiła tak, że dziś zaślepiony będzie walczył jak niedźwiedź i niszczył wszystko, co Karol wprowadził.

Marya (zadowolona)

Wiedziałam dobrze, że czem skorupka nasiąknie musi trącić. Stary szlachcic nie może zostać przemysłowcem i szermierzem równości.

Anna.

Przytem mecenas Damowicz i twój ojciec wyszukują stosunki by wszystkie manipulacye spółki przepadły, więc my kobiety podpiszemy to wszystko w swoim czasie, dlatego denerwować się nie potrzebujesz niecierpliwa małżonko.

Marya.

Ale ciotka nic nie wie!

Anna: Bądź zupełnie spokojna. Mama o tem wiedzieć nie

będzie, bo któż wie, jak się to skończy.

Marya (nerwowo)

Musi się skończyć jak ja chcę.

Anna.

Lecz pewności nie ma bezwzględnej, a mama surowa moralistka wyszuka w naszej zmowie niesłychane zbrodnie.

Marya (wstaje)

Między nami dziewczęta to zostanie. Tylko ty Aneczko działaj energiczniej. Więcej uroku rzucaj na Karola, nie wstydź się, użyj radykalnych środków.

Anna.

Tego nie możesz odemnie żądać. Może życzysz sobie, bym ciebie przy nim zastąpiła.

Marya.

Prawie...

Anna.

Więc nie pozwalasz mieć wstyd kobiecy. Za daleko sięgasz w żądaniach.

Marya.

Co tajemnicą zostanie między nami nie tyczy wszystkiem!

Anna.

Lecz ty kobietą, masz ślepą zazdrość o Karola, której nie widzisz, więc nie chcę narażać się na zburzenie moich pragnień.

Marya.

O to źle sądzisz. Ty to mówisz, czy zapominasz o Elżuni!

Anna.

To takie śliskie jak gołoledź.

Marya.

Proszę cioci, nie widać tam mego szczęśliwego męża?

Amelia (od okna)

Karola nie widać. Zamawiał wszedł do kamienicy, zapewne już dawno po posiedzeniu.

Marya

Ach!

Anna.

Zimnej krwi Maryniu.

Marya.

Ty Anno szczęśliwa, tak łatwo znalazłaś cel życia.

Anna: Łatwy nie ale przyjemny.

Marya.

Tak, przyjemny, mniej rozkoszny, cóż kiedy ja tylko w pała=cu mogę być zadowolona, rydwan złoty może mnie uspić spokojną.

Anna.

Każda ryba w innym sosie smaczna.

Marya.

I każda przyroda ludzka inna. Karol utrzymuje, że naturę i namiętność zwalczyć można.

Anna.

Sądzę, że wybrać można takie namiętności, które w danych warunkach można zaspokoić. Godzę się z Karolem o tyle, o ile mówi, że pewne tylko można poskromić.

Marya.

Tyś sobie wybrała dogodną namiętność.

Anna. /wesoło/

Miałam jeszcze lepszą, mogłam być dobrą żoną i matką, cóż, kiedy ziemia zabrała mi koncesionowanego towarzy=sza.

Marya: A teraz posiadasz różnych prywatnych.

Anna.

Mnie by właśnie namiętność skandalików i intryg odży=
wiać. Świat bardzo trudno w tej mierze koncesyi udziela.

Marya.

A gdzie się wybierasz po zakończeniu naszej afery.

Anna.

Wyślę mamę do stryjostwa, a sama do Zakopanego na po=łów

Amelia (zbliża się)

Dlaczego ja nie mogę pojechać razem z tobą.

Anna.

Bo mama mnie przeszkadza.

Amelia (płaczliwie)

Ależ Aneczko, kiedyż ci przeszkadzałam? Mam żal do ciebie.

Anna.

Swoją osobą zawsze. Gdy naprzykład w Zakopanem przy
jakiej stromej ścieżce będę malowała samotna, udając
awanturnicę, artystkę i czatowała jak pająk na ofiary,
gdy znajomi będą wiedzieli, że z mamą jestem, a spotkają
samą czy wieczorem, czy rankiem, wezmą na języki, zaczną
więcej obmawiać niż zasłużę, rozgłoszą moje zachowanie,

a tak, gdy bez mamy pojadę nikt bardzo nie zdziwi się, że sama sobą opiekuję się.

Amelia.

Ale tak długo ciebie niewidzieć.

Anna.

Zostawię mamie tę nową fotografię w stroju prządki.

Marya.

Cóż to za nowy koncept.

Anna.

Ach, wygadałam się. To dla Karola, z odpowiednim wierszykiem oddam mu dziś na pamiątkę, na jego imieniny.

Marya.

To dość prawdziwe na pojączka.

Anna.

To jest jedna z wielu drobnostek, które dużo jego zastawiają.

Od strony prawej wchodzi Karol Witecki.

Karol /swobodny/

Moje panie już czekają.

Anna /podbiega do Karola/

Szwagiereczek kochany. Cóż to, tak pan długo kazał cze-

kać na siebie.

Karol.

Po drodze byłem w redakcyi u Trąbińskiego.

Amelia.

Spewnością niezadługo ponownie poczną się schodzić.

Karol.

Jeszcze za jasno. (Zwraca się do Maryi) Cóż moje złotko porabia.
(całuje w usta)

Marya

Czeka na twoich przyjaciół.

Karol (ogląda Maryę)

Jak ty się pięknie ubrała.

Marya.

Niemogą na twoją żonę powiedzieć że brzydko. Tyle panów z różnych sfer, z różnymi pojęciami, wszyscy muszą powiedzieć, żem piękna.

Karol. (całuje M. w rękę)

A ja powiem żeś najpiękniejsza.

Marya.

Owszem, bardzo mi przyjemnie.

Karol (prowadzi Manię na kanapę i siada z nią)

Usiądźmy sobie, za dobrą chwilę pierwsi nadejdą.

Anna.

Listonosz przemówił się do zasługi tyle listów przyniósł.

Karol.

Ach prawda, niewidziałem jeszcze.

Amelia (siada na lewo)

~~xxx~~ Może pięćdziesiąt.

Karol.

To mnie bardzo, bardzo cieszy. Przynajmniej pamiętają o mnie. To otuchy dodaje do dalszego postępowania. Maniusiu! tak mi błogo, tak mi dobrze!.. Cały dzień uwijałem się po mieście, wszędzie życzyli mi, cieszyli się moimi imieninami. Jedna rzecz nadzwyczaj mnie wzruszyła. Idę ulicą, jakiś staruszek zachodzi drogę i zagaduje dzieńdobrym, wyciąga rękę drżącą i robi krzyż nad głową i mówi: „To co mogę ofiarują panu na imieniny, syn później swoją wdzięczność przyniesie ze wszystkimi”... Nie rozumiem, co to znaczy, ale takie rzeczy dają potężne uczucie, że zdaje się, iż pierś pęknie ze szczęścia.

Anna (chłodzi się wachlarzem)

Wszyscy ci winszują na ulicy i po domach, a nam tak prędko wymknąłeś się, że nie mogłyśmy powiedzieć, co czujemy dla ciebie.

Karol (Amelia trzy oczera)

Ludzie właściwie nie zważają na to, że ktoś tam imieniny obchodzi, więc dziś nie więcej jak zwykle wypuszczyli zajść, a ja wiem co czujecie, bo wzajemnie czujecie ze mną. Ja Marysię kocham wszędzie i we wszystkiem, a Marysia mnie wszędzie i we wszystkiem, co Marysiu?

Marya (oplata rękami szyję Karola)

Od żony masz na imieniny wieniec cierniowy.

Karol.

A — rozkoszny taki wieniec. Jeszcze raz... (M. czyni to samo)

Anna (wyjmuje z za sznurówki fotografię)

A odemnie masz podobiznę kobiety, która na kolanach wyprosiła u mnie, bym także oddała ten upominek za serce, pracę, i niesienie sztandaru wolności przed sobą, pełna uwielbienia dla przewodnika społeczeństwa. (podaje fotografię stojąc naprzeciw)

Karol.

Psuje mnie ta pani. /ogląda fot./ A – ta pani, pani Anna tak mnie zawstydza. I godzi się to. Gdybym był trochę słabszym, osiadłbym na laurach, a dopiero mam prawo do siedzenia na jodłowej desce.

Anna.

Między nami możesz przyznać się do tego coś zdziałał.

Karol.

Chcesz powiedzieć w zamętem – Proszę Ciotki kazać wina przy-nieść, trzeba napić się troszeczkę.

Amelia.

Właśnie o tem myślę. /wychodzi na prawo/

Anna.

Tak jest, jesteś jak dąb surowy i silny, trzeba ci dużo soków.

Karol. /wstaje/

Chociażem dąb, ugnę się i ucałuję rączki. Taka piękna prządka motylko prząść nić mnie, zapewne niejednemu czło-wiekowi myśl uprzędzie i natchnie do wierności i miłości /całuje rękę Anny/

Anna. (z kokieteryą)

Zapatrzona w ciebie chciałabym prząść myśli do społecznej miłości. (Nadstawia twarz) A w pysio. Jestem rodzono-cioteczną siostrą twej żony.

Karol (patrzy na siedzącą Maryę)

Marysia będzie się chmurzyła.

Marya.

W małżeństwie kochającem się niema zdrady.

Karol. (z daleka całuje Annę)

Zdaje mi się, że w raju jestem. Niemasz nad rodzinne życie. Dzisiaj tak chciałbym wam się wyłącznie poświęcić, kiedy wymogi towarzyskie każą mi z przyjaciółmi dziś a nie jutro wycałować się — Gdybyście wiedziały jak mi przy was dobrze, jak na uczucie działa widok swojej rodziny, swego ogniska, gdy uwije się całym sobą własne gniazdo. Czasami chętka władna, rzucić ludzi, puścić wszystkich w niepamięć i z wierną towarzyszką w chatce gdzieś na stoku góry zamieszkać i kochać i zalać spokojnem życiem i chować dziatki! (z wyrzutem) Marysiu, czego my dziatków nie mamy?

Marya.

Trzy lata po ślubie.

(Służąca wnosi na tacy wino i kieliszki ~~a~~ zaraz odchodzi)

Anna.

Ja w dwa nie miałam, a mąż już ciężko chory obiecywał, że zeale pociechę. Został po niego. Dwie trumny powiozły moich do nieba.

Karol.

Ty musisz być bardzo nieszczęśliwa.

Anna.

Do niedawnego czasu tak było, ale gdym twoje życie ujrzała, mam w tobie księgę, jak chronić się od złego, jak zadowolenie znaleźć.

Karol.

Anno nie dosypuj miry do kadziołki.

Marya.

Ona ma słodką naturę, że pochlebstwami odwracać mnie bardzo zręcznie.

Anna.

Zresztą tylko marne kwiatki wychają od kadziołka,

dąb bawi się dymem.

Karol (całuje Annę w rękę)

O ty modrzewiu powiewny...

Od strony prawej wchodzi Adam Żabski.

Anna (nagle przerażona)

~~Karol~~ Adam! (cofa się w głąb)

Karol (zdziwiony)

Czy mnie oczy nie mylą.

Żabski.

Nie mylą.

Karol (nagle i serdecznie)

Adaś, Adasiu kochany! Wiesz, że większej parady zrobić mi nie mogłeś! (Ściskają się i całują parę razy) Mów, gadaj kiedyś przyjechał — To cichacz, ani napisał! Adasiu, jak pysznie z tą brodą wyglądasz! (Do Maryi, która wstała) Adaś Żabski mój kolega, towarzysz uniwersytecki, przyjaciel, druh, wszystko najlepsze — moja żona, wielka pani Marya, Jadwiga, Wanda trojga imion Witecka. (do Anny) Wy się znacie. (M. podaje rękę Żabskiemu)

Anna: (obojętnie) Tak, przypominam sobie pana Adama.

Żabski (kłania się Annie)

Z przed sześciu lat.

Karol.

Gdy byłeś świeżo upieczonym inżynierem. Wiesz Maryniu, że pięć lat nie było tego urwisa. Aleśmy o sobie nie zapomnieli.

Żabski.

Teraz może będziemy znowu razem. Jeżeli mnie nie przyjmiesz jak przyjmę się do ciebie. Spróbuję na naszym polu orać.

Marya.

To pana w kraju nie było.

Żabski.

Tak, pracowałem po różnych hutach i warsztatach za granicą.

Karol. (odbiera Ż. kapelusz)

Połóż że kapelusz na bok. Jesteś u siebie.

Marya. (podaje rękę Żabskiemu)

Tak jest. Słyszałam o serdecznych stosunkach pana z Karolem. Bardzo cieszę się ze znajomości. Ale niechże pan usiądzie.

(Marya siada na kanapie, Karol i Żabski po lewej na fotelach, Anna przechadza się tyłem sceny. Żabski niespokojny

ściga Annę wzrokiem)

Karol (uradowany)

Adasiu, cóż ciebie tak niespodziewanie przypędziło. Musisz być już bardzo doświadczony, zmężniałeś na bohatera! Taka broda poważna.

Żabski.

Cha, cha, cha, zmężniałem na bohatera! Drwij sobie. Pamiętasz z czem odjechałem. Zrozumiesz, gdy powiem, że nie zmieniłem się.

Marya

Cóż to tajemnego.

Anna (z przekąsem)

Pan Adam widocznie chce się różnić od innych mężczyzn. Na stałość i wierność cierpi.

Żabski. (odwraca się do Anny)

Uważam tę cnotę za najdoskonalszą dla ziemskiego bytu.

Karol (do Anny)

A widzisz.

Anna

Powinszować...

Marya.

Jak wy się rozmawiacie.

Karol (wesoły)

Dowiesz się Maryeńko o wszystkiem. Będzie nowe szczęście w naszym domu i w mojem sercu.

Od strony prawej wchodzi Ramowicz.

Marya.

To bardzo pomyślnie, także w to wierzę.

Ramowicz.

Najniższy sługa.

Marya (wstaje i biegnie do Ramowicza)

Pan mecenas postępuje jak prawdziwy przyjaciel.

Ramowicz (wita się z Maryą)

Chcę być prawdziwym przyjacielem państwa.

Marya.

A dziś będzie kielich krążył, wsta się rozwiążą, powiem panu o kilku ważnych rzeczach.

Ramowicz.

Służę pani, dziś także rozgadam się.

Marya: Więc zostawiam Karola z przyjacielem. Dobrze?

Żabski (wstaje i kłania się)

Pani...

Ramowicz (zdziwiony)

Pan Żabski.

Żabski.

Pan Ramowicz.

Ramowicz. (podaje Ż. rękę)

Jakże miło odnowić znajomość z pod „palmy". Pana w kraju nie było.

Żabski.

Nie byłem.

Ramowicz.

Zapewne właściciel kilku patentów.

Żabski.

Nie, zwykły robotnik techniczny.

Ramowicz.

Muszę wierzyć choć dziwię się skromności.

Żabski.

A co mi po zaszczytach i blasku.

Ramowicz: No nie, lecz ludzkie piąć się wyżej.

Karol.

Ale w skromności.

Marya. /energicznie/

Więc skromnych zostawiamy i przejdziemy z mecenasem do salonu /do Romanowicza/ Twoi przyjaciele muszą się wygadać.

Anna.

A ja za wami, może coś skorzystam.

Żabski.

Pod jakim względem.

Anna.

Siądę w kąciku i będę myślała o niedopełnionych marzeniach lub o dopełnić się mających.

Wychodzą na prawo, zostają Karol, Żabski.

Żabski /żywo/

Co tu Anna robi!

Karol.

Już wdowa, włóczy się po świecie i mnie znalazła. Zawsze miła i wesoła.

Żabski.

Już wdowa... wiedziałem o tem od kuzynki.

Karol.

Kochasz ją widocznie ciągle.

Żabski.

Do szaleństwa.

Karol.

Pobiorę was.

Żabski.

Będę ci nogi całował.

Karol.

Zatrzymam dłużej u mnie, miała być tylko do lipca.

Żabski.

Może o mnie ani pomyśli.

Karol.

Już wiele doświadczyła, ustatkowała się znacznie.

Żabski.

Jak grom z jasnego nieba — ona jedna z pierwszych kobiet mnie powitała, prosto z kolei do ciebie przychodzę by ci powinszować.

Karol. (ściska rękę Żabskiemu)

Dziękuję ci ze serca.

Żabki. (Karol nalewa kieliszki winem)

Fantazyą już dawno byłem koło ciebie. Jak żak z radości płakałem, że tak wiernie strzeżesz tego, cośmy dla życia wy=tyczyli: Ba, po gazetach o tobie piszą, tak poruszyłeś zaśnie=działą naszą ziemię. U nas żeby jeden człowiek tyle zrobił, zaraz wierzyć nie można.

Karol (trąca się kieliszkiem ze Ż. i piją)

Zasługa dobrze obmyślanej akcyi i tego, że niezawisłym jestem i wieś pół mili od miasta.

Żabki.

Kornelin zapewne dobrze rentuje się.

Karol.

Oczyściłem z długów ojca posagiem żony.

Żabki:

A dlaczego w mieście mieszkasz?

Karol. (obaj siadają na lewo)

Codziennie niemal jestem na wsi, a tam obywatel Sikora tak znakomicie moje zlecenia wypełnia, sam taki spryt ma rolniczy, że mimo tego, iż w mieście mieszkam, gospodar=stwo moje do najwzorowszych w powiecie liczą. A tu w mieś=

cie dogodniej stać na straży publicznych zajęć. Co chwili posiedzenia, rachunki, aż w głowie od cyfer szumi.

Żabski.

Czy nie uważasz, że my w spadku do cyfer mamy, tyle wieków rachowały za nas inne plemiona, że wyrodziliśmy się do ekonomii i dlatego z głodu schniemy.

Karol.

Schniemy ale schnąć nie będziemy. Młode pokolenie sokolim okiem będzie nad postępem czuwało.

Żabski (z uśmiechem)

Powiadają, że rojenia młodzieńcze to puch niewinny.

Karol.

Ci pedagogy, którzy nie wiedzą, że o czem młodzieniaszek roi, to jego przyszłość, w fatalnym są błędzie.

Żabski.

Wnet ciebie nikt starszy miłości postępu nie uczył.

Karol (podaje Żabsk. papierosy.

Nauczyli mnie moi przyjaciele i towarzysze. Ty Adasiu dałaś mi to, czem jestem.

Żabski: Znam ciebie już lata minęły, jak obcowaliśmy.

Karol /zapala papierosy/

Ale podwaliny razem wybudowaliśmy.

Żabski.

Z zapałem biegłem w nasze strony pod twoje skrzydła.

Karol.

O, jesteś potrzebny jak oś do koła. Nasze koła są, nietrudno wynaleźć, ale osi tak brakuje. Tyle wypysku, tyle ambicyi i egoizmu, że trudno oś zrobić.

Żabski.

Ja nawzajem i pojąć nie mogę, co zrobiłeś, żeś tak młody już tyle programu swego dokonałeś.

Karol. /zapala się i wstaje/

Kornelin dzielny mi dochód niesie. Z Marynią oszczędzamy się, więc z razu swoimi pieniędzmi wypłacałem. Trzymałem się humorystyki o testamencie pewnego amerykanina. Miał trzy miliony i zapisał synowi jeden na prowadzenie interesu, a dwa miliony na reklamę. Prawdziwa reklama, jasne przedstawienie rzeczy liczbami, praca i walka na słowa i cyfry musiały pomyślnie rzecz poprowadzić. Wiece wszędzie organizowałem, wiec za wiecem, rzucałem zapa-

tem i przykładami kilku prawdziwych obywateli, a w Polsce nikt prawie cyframi nie zaprzecza i ustąpić musieli: Założyłem wielką spółkę zbożową dla eksportu, obejmuje już sześć powiatów, ruszyłem kilku zatwardziałych kapitalistów i mamy w mieście akcyjną garbarnię i dostawę butów dla dwóch korpusów, za pomocą odpowiedniej reklamy wagonami wywozimy krajowe kilimki. Szlachtę na kupców przerabiam, niechaj broni wieśniaków od wyzysku. Dość mieliśmy obcego żywiołu i mamy, nauczymy się pieniądze sobie nie im dawać!

Żabski.

Pełny żołądek jest podstawą cywilizacji i moralności.

Karol.

U nas tak piękne pole do postępu czyli poprawy.

Żabski.

Więc hasło praca i wolność zwycięża mimo opozycji.[2]

Karol.

U nas ciężko, każdy się boi słowa praca, pójdzie jednak bo ważny jak się zaprzątnąć z ludźmi. Wykaż im korzyść własną pójdzie zaraz, na ofiarność bezinteresowną liczyć

nie można. Pracuj więc, abyś miał za swoje zapłacone. Tym sposobem w górę będziemy się dźwigać.

Żalski.

Zaprawdę dobra taktyka. Dla ratowania głodnych i wyzyski-wanych obrabiać pasibrzuchów.

Karol.

Kapitaliści w Polsce są zwykle wielcy głupcy. Woży świe-cimy bajońskimi zyskami.

Żalski.

A znają twoje cele.

Karol.

Ba, gdyby znali, wszyscy odwrócili by się odemnie. Ale zdaje się posiadaczom, że dla ich dobra pracuję. Tymczasem zdaż nie mięszam ludzi ze sobą – Szlachtę z ludem, robiących z od-biorcami, a mam silną wiarę, że za życia mego w tem mieście i okolicy dalekiej podniosę cześć dla pracy, zniknąć kasty i wyzysk, gdy lichwiarze z głodu poginą.

Żalski.

I zawsze jak optymista patrzysz wimo kilku lat próby.

Karol: Kto chce wiele, a nic nie robi musi zniechęcić się.

Ale kto przestanie na tem, że od nikogo niczego nie żąda, a wszystkim ma dać wedle możności — nie jest w stanie rozczarować się. Dlatego żadnem niepowodzeniem nie zrażam się i idę naprzód. Człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, towarzystwo tylko może go poprawić, w towarzystwie tylko mogą czynić. Zakładam spółki z drobnymi udziałami ale liczące po kilkaset członków.

Żabski.

Chcesz prześcignąć zagranicę.

Karol.

A choćby i tak było. Czas najwyższy nauczyć Polaków samodzielności. Zresztą, chcę dowieść, że im więcej kaset ma człowiek, tem więcej zrobi. (zmienia głos) Ale zapalimy nanowo papierosa.

Żabski. (obaj zapalają nowy papieros)

Przenoszę się myślą w nasze uniwersyteckie czasy. Tylko że wina nie było i skromniej w pokoju.

Karol (zbliża się, serdecznie)

Gdy przy dymie papierosów, w niebieskich kłębach unosiliśmy się nad brudy świata.

Żabski (ze smutkiem)

Byliśmy bardzo młodzi, weseli, wszystko różowo.

Karol.

Nieprawda. W mowy człowieka uważać dzieje życia za możliwie najszczęśliwsze usque ad finem.

Żabski (wstaje popiwszy wina)

Gdyby tak można było.

Karol. (zapala się)

Adasiu, słowa twoje niegodne ciebie. To zniechęcenie, które około trzydziestki poczyna często ludzi napadać, to gorzki objaw wszelnego zwiędnienia. Każdy człowiek ma swoje utrapienia w każdej porcji życia, a wszystkie stosunkowo jednakie.

Żabski (poczyna)

Nie mówię to sobie codziennie. Wierzyj, że rozmyślania nasze za szczęśliwych czasów posiadam w teoryi, ale w praktyce jakoś inaczej idzie. Czuję, żem młody, silny, a żal do życia gniecie mi piersi, niezadowolenie... Ciemna i ciemna w pragnieniach, w myśli, we krwi...

Karol

Skończysz się Adasiu niebawem. Ciemna wolna rzeka milości jak

kania wody.

Żabki (siostra K.)

Poczciwy, zacny jesteś!

Karol.

Toć w górę duchy. Wielką pomocą w życiu jest pojęcie, że każdy wiek ma swoje równe cierpienia, choć przeszłe wydają się nam mniej dotkliwymi, bo zapomnieliśmy. Lecz wróć do młodzieńczych czasów. Ileż razy siedzieliśmy do brzasku przy rozmowie. Papierosy, kochanki legendy akademickiej, ćmiły nam w oczy, a my serdecznie cierpieliśmy biadając nad bezmyślnością ludzką i samolubstwem jednostek.

Żabki.

Mieliśmy chwile wstrętne, przypominam sobie.

Karol.

W latach marzeń czuliśmy za wielu. Wtedy umarł ci ojciec. Jakby dzisiaj było, przypominam sobie twoją uwagę, że więcej cię bolały nasze żale z powodu ludzkich zbrodni jak świadomość, że staruszek przeniósł się w świat lepszy.

Żabki:

Teorya piękna. Dziś zatarło się to i owo u mnie, a terazniej-

sześć tak pali i dręczy.

Karol.

Więc gdzież promienie twego słońca.

Żabski:

Anna.

Karol.

Więc widocznie Anna słońcem ci nie jest. Upadłeś bardzo wcześnie. Odrazu odgadłem i umyślnie przypominałem uczucia lat dawnych.

Żabski:

One tak słodkie wydają się, gotów jestem noc całą o tych minionych dziejach gwarzyć. Wtedy Anna nadzieję mi robiła.

Karol.

Czynisz jak ludzie, którym mało niepowodzenie zdolne zastonić szczęście. Wierzę, że to jest pewnikiem, więc stosujmyż się do tego: Nie należy przeceniać goryczy obecnej a przeciwstawiać przeszłą, jako łagodniejszą. To siły herkulesowe daje.

Żabski:

Wiem o tem, a dlaczego ulegam bólom jak niewolnik. Gdyśmy mówili raz o ideach, gdy na popielniczce zebrała się garść

popiołu, przyrównałem to do ludzkich idei.

Karol.

Marzenia i cele to słońce ducha ludzkiego. Słońce to otacza ciepłymi promieniami w zwątpieniu, rozgrzewa do czynu. I gdyby Anna była słońcem twego życia, myśl o niej, modlitwa do niej dałyby ci spokój i cierpliwość. Miłość Petrarki była słońcem.

Żabski.

Więc czem innem jest mi ukochana?!

Karol.

Namiętnością. Listy twoje do mnie pisywane przekonały dostatecznie. Ty ją chcesz posiąść tak gwałtownie, że upadasz bez niej, marnujesz siły. Adasiu, ona ci słońcem nie jest.

Żabski.

Mówisz filozoficznie, bo masz Marysieńkę i próżni nie czujesz.

Karol.

Ale przysięgam, bo czuję to, że gdyby taki grom życie moje przedarł, żeby Marya mnie zdradzić zechciała, uznam jej wybryki jako nieuniknione i będę z oddali w słońce mego serca

potrzał. Moich idei nic wzruszyć nie może, bo z ich zwichnię-
ciem mnie nie ma!

Żabski (z podziwem patrzy na K.)

Mimowoli stajesz się kapłanem, a my sługami przy twojej
ofierze.

Karol.

Przynajmniej ty na pochlebstwa nie pal się.

Żabski.

Wszyscy tak o tobie mówią, ja wierzę w głos narodu! I przykład
twój tyle zdziałał, że nie stałem się złodziejem albo łotrem.

Karol.

Ależ ją będziesz miał za miesiąc.

Żabski. (z przejęciem się)

Ach! Gdyby, gdyby — (zmienia ton) Ale co powiesz, że ku-
zynka która mi o niej donosiła, słyszała od niej, że mnie
znać nie chce.

Karol.

Droczy się! Nabita jak butelka lejdejska. Dotkniesz, odda
ci się bez namysłu, ruszy się jak sarna na bekowisku.

Żabski: Człowiek jest bydlę ślepe. Bez niej życie moje sta-

mane bez naprawy.

Karol (surowo)

A ja ci tego zabraniam i przyrzekam, że odejdziesz w pełni i pozniesz mię na swoje nerwy, bez w słońce patrzeć.

Żabski

Różne są systemy słoneczne.

Karol.

Ale blask i ciepło jednakie! Nietrzeba księżyc za słońce uważać... Kto się chce przy księżycu zagrzać, zacznie szczękać zębami od chłodu.

Od strony prawej wchodzą Marya, Anna, Wanda Cybulkowa, Cybulka, Murytto, Zbicki. Towarzystwo wesołe i rozgadane.

Marya (do Wandy)

Miło witać się z dawno niewidzianym przyjacielem.

Wanda (do Karola)

Panie Karolu, czy można kazać czekać na siebie.

Karol (kłania się)

Pani – Marynia za to odpowie.

<u>Anna</u>: Marynia niechciała ci przeszkadzać

/Karol w następnej scenie wita się z panami, przedstawia Żabickiego rozmawia z nimi w tyle sceny/

Wanda. /do Anny/

Siądźmy tu, powiem wam o czem ani wy ani pan Karol nie wie.

Anna /siada z Wandą na kanapie/

Pewno owacye.

Wanda.

Tak, wszystkie odbędzie się podmiastu. Za chwilę zapewne rozpocznie się. Robotnicy z akcyjnej przędzalni robią korowód z pochodniami, przyniosą transparenta, będzie mowa na ulicy. Sami to urządzili. Niewymownie jakąż mi to radość sprawia. O, nigdy nie żałuję, że wystąpiłam z tradycyjnego koła przesądów.

Marya /stoi naprzeciw A. i W. Zbicki koło niej/

Z rodzicami zapewne dawno nie widziałaś się.

Wanda.

Na oczy nie chcą mnie widzieć. Pani Cybulkowa to w ich domu złe powietrze, bo jak bez herbu i tradycyi można się pokochać córce prastarego szlacheckiego gniazda.

Anna: /wesoło/ Z Jastrzębców Rzębeckich-Cybulkowa!

Wanda.

Mnie samej śmieszne się wydaje, więc gdy przed ślubem raptus ojciec zamiast błogosławić, przeklął — z daleka kocham rodziców.

Anna.

I tak nic sobie pani nie robi z przekleństwa.

Wanda.

Ci, którzy po dobrem winie czytając poezye, miłość i porywy idei uważają za wskazówkę do małżeństwa, a gdy chodzi o małżeństwo przeklinają, gdy narzeczonym jest wykształcony ale rycerz w przemyśle Cybulka, są wtedy niepoczytalni, więc ich przekleństwo nic nie znaczy. Ludzie powinni wyżej cenić wszystkie wydatki ducha, dlatego nie uważać za okropne tego, co w zapamiętaniu wypowiedziało się.

Marya.

W samej rzeczy, jeżeli narzeczony bogaty lub umie robić pieniądze, śmiesznym jest zakaz, choćby nazywał się ów wybrany pietruszką.

Wanda.

Marynia, coraz więcej różnimy się. Inną byłaś przedtem.

Nie idzie o pieniądze ale o rozum. Serce znalazłabym i w szlachcie przeciętnej. Miałam kilku konkurentów, którzy mając wsie, mieli i serca, ale gdy widziałam, że tradycya nie pozwala im równości cenić bezwzględnie, wolałam wyjść za człowieka pracy i wolności rwącego się.

Anna.

Dziwi mnie tylko, że bawią panią niewdzięczne prace społeczne. Całymi dniami po zebraniach...

Wanda (wstaje)

Dziś będziesz słyszała, co będą mówili. Serce się topi jak wosk i łzy cisną się, gdy zobaczysz tradycyę i przyszłość w zgodnym uścisku teraźniejszości. Sama myśl, że dźwigamy się z pod pręgierza kasty i egoizmu daje mi szczęście.

Marya.

Opuszczam zupełnie wasze koła. Ludzie opuszczą, a wnętrze człowieka zostanie świadkiem walki i życia — dbam tylko o zadowolenie mego wnętrza.

Anna

Ja tylko w miłości wierzę.

<u>Wanda</u>: To i będziecie nienasycone całe życie i będziecie takimi,

jaki pan Zbicki.

Marya (do Zbickiego)

Stypsy pan.

Zbicki. (do Maryi)

Szkoda, że pani tego nie powiedziała. Byłoby efektowniej.

Wanda (do Maryi, biorąc ją pod rękę)

Marysiu weźmę cię na rekolekcye. Odmienię cię zupełnie. To wstyd, że żona pana Karola nie należy do żadnego towarzystwa kobiecego. Mamy oddział kobiecy towarzystwa szkoły ludowej, przytułek nocny dla bezdomnych, towarzystwo akcyjne kobiece dla utrzymywania parku systemu Jordana, żeński oddział towarzystwa gimnastycznego — widzisz to w mieście niewielkiem. Tak pracujemy dla szczęścia drugich i własnego.

Marya

Ludzi tem nie naprawicie, a strwonicie wiele czasu i pieniędzy, zamiast korzystać z życia i używać!

Wanda.

Na 100 kobiet 80 mówi jak ty. Ale procent opozycyjny powoli zmniejsza się.

Anna: To chwilowy zapał.

(Przerywa huczny śmiech panów w tyle sceny)

Wanda.

Do czego pan Karol się weźmie, to fundamentalnie.

(Od strony prawej robi się gwar, wbiega Trąbiński)

Trąbiński. (do Karola W.)

Panie Witecki dla Boga, deputacye nadeszły! Gwałt robi=my w pańskim domu, ale to dla niebie dalibóg, dla dobrej sprawy jak Boga szczerze kocham! (porywa K. pod rękę)

Karol.

Ależ spieszę kochany redaktorze. Panie Murytto, pomówi=my kiedyś o pańskich zarzutach. (do Maryi) Maryniu, wy tu zostajecie?

Żabski. (zbliża się za nim inni)

Pójdziemy z Karolem, wszak prawda.

Żbicki.

Przypatrzyć się paradzie.

Trąbiński.

Dalibóg warto, nadzieja rośnie, jak Boga szczerze kocham!

Marya (żywo)

My za chwilkę przyjdziemy.

Karol /do Maryi/

Cóż ty Maryniu złota bez humoru. Żona powinna towarzyszyć w uroczystym dniu mężowi.

Wychodzi z ~~Trąbińskim~~ z "Cybulką". Trąbiński na słowa A. wraca/

Anna /do Trąbińskiego/

Skąd deputacye panie Trąbiński?

Trąbiński. /głos ma cienki, bardzo układny/

Lepiej zwykle piszę niż mówię. Bo co innego adwokat, a co innego dziennikarz. Jutro będzie to opisane w naszej gazetce jak Boga szczerze kocham. Deputacye różnych naszych dziesięcioosiemtowych towarzystw z miasteczek i naszego miasta przyszły winszować prezesowi burmistrzowi. Gdyby pani chciała, to mógłbym napisać artykuł, że w stolicy to nie objawia się tak uroczyście. Ale w naszym prowincyonalnem mieście, odkąd wywiesiliśmy sztandar równości, a w gazetce narobiliśmy chałasu, wszystko się rozpaliło. Pani, to logiczne następstwo pracy naszych poprzedników od Mickiewicza i Kraszewskiego począwszy, jak Boga szczerze kocham...

Anna: Coraz więcej mię to ciekawi.

(Marya rozmawia z Muryttą, Wanda ze Żabskim, Zbiski chodzi krok w krok za Maryą)

Trąbiński (powoli zaczynają wszyscy słuchać)

A słyszałem przepraszam, że pani wolna i dzieci nie ma. Przepraszam za obcesowość, ale dziennikarzowi tak najlepiej. Otóż pani, to materyał na pracownicę naszych celów. Chcemy wszystkie bezdzietne kobiety, wszystkich majętnych, którzy mają więcej czasu i pieniędzy niż byt ich wymaga, zaprzęgać akcyami lub pracą do taczek, którymi sypiemy kopiec dobrobytu i oświaty, jak Boga szczerze kocham.

Murytto (zamarzyty)

Na nic nadzieje. Nadzieja matka głupich.

Trąbiński. (urażony)

Kto pierwszy dziennik w kraju założył kosztujący sześć reńskich rocznie, a w tanim wydaniu cztery, mający 6.000 prenumeratorów, ten może w Polsce powiedzieć, że nie łudzi się. Przez osiem lat pracujemy!

Murytto.

Bogu Najwyższemu dziękuję, że Panowie zdołali mnie przekonać. Widzę, że chcecie szlachtę niszczyć, widzę, że chce-

cie kontusze kasować, chcecie sami sukna przymierzać po ukończeniu uniwersytetu! Hola mości panowie! W głowie mi się kręci, myślę sobie, że zgłupieć wypadnie jak samowarowi bez węgli! Było dobrze, będzie dobrze. My na większej posiadłości opozycyą zakładamy. Precz z internacyonałem. Świat się przewrócił. Szukam z Mięczkowskim za szlachtą, a też spotykam kupców zbożowych. Proszę na polowanie, jeden, drugi wymawia się, odjeżdża za dzień, a też ja zaklinam na wszystko, że przy okazyi wypada po szlachecku i w karciki zagrać i pohulać dni parę. Serce mi się kraje, gdy onegdaj przyjeżdżają dwaj praktykanciki sądowi, twierdząc że chcą się do ligi zapisać, bo w kasynie miejskiem pieniądze wygrane dla jakiegoś tam towarzystwa szkolnego odkładają. Ligę utworzyliśmy, zniszczymy was! Dziś mi się chłopi stali, wójtą, niechcą „Krakusa" czytać, robić im się niechce! Tfu! Tfu! Tfu!..

Wanda (ironicznie)

Święte panickie oburzenie!

Muryłło: Wierz pani, że w Polsce nigdy tego nie było.

Trąbiński:

Ale jest, chociaż słabiuchne na razie!

Marya.

Dowiecie się, gdy ogłosicie upadłość i niewypłacalność, będzie=
cie pod sądem opinii za winy odpowiadać.

Trąbiński (uniżony)

Ładnie pani dobrodziejko, będzie nam miło w karcerze siedzieć.

Żabski: (do Maryi)

Smutno, że u nas tak przesądy zakorzenione.

Marya. (cierpko)

Pan da swoją krytykę po poznaniu treści. Karol trwoni pie=
niądze, czy marnotrawstwo mogę pochwalić.

Wanda.

Nigdy! Marnotrawstwo to pierwsza rzecz przeciw której walczymy.
Więc aby czasu nie ~~tracić~~ marnować, chodźmy do salonu.

Marya

Za chwilę przyjdziemy — tam tylu panów.

Wanda (energicznie)

Kto szanuje zelenizanta za mną!

Trąbiński: Jak Boga szczerze kocham...

Wychodzą Wanda, Trąbiński, Żabski, zostają Marya Murytło, Zbicki, Anna. Anna idzie ze Zbickim na balkon.

Marya (gorączkowo do Murytły)

Więc jakże panie Murytło, z ojcem już pomówie?

Murytło.

Ciężko nam obydwom było, płakaliśmy jak dzieci. Cóż kiedy tonący brzytwy się chwyta. Zawarliśmy już układ wzajemny. Pan Hilary przystąpił do ligi i przyrzekł za 20% bałamucić rachunki Karola.

Marya (siada)

Tak, tak, wyrzec się trzeba skrupułów, gdy o wielkie dzieło chodzi.

Murytło (wzruszony)

Niewiem jak będę dziękował, jak cała szlachta będzie dziękowała pani za podanie myśli. Ja i Miękowski ułożyliśmy plan kampanii. Spółka zbożowa w łeb weźmie, diabli zgruchocą całą maszynę! (gwałtownie) Nie mogę patrzeć spokojnie na panowanie parweniuszów! (z żalem) I to Karol robi, syn pana Antoniego, z którym tyle dziejów przeszliśmy! Hańba na nas za nasze herezye! Jakto, żeby dziś szlachcic nie mógł robić co mu się podoba... Pani,

ja straciłem tego roku, a on śmie mówić, że właścicielom wielkich obszarów strata kilkuset reńskich nic nie znaczy, gdy to na dobro publiczne poszło. Ale ja już towarzyszów nie mam. Celem moim jest chowanie tradycyi — już niema takich coby mnie pomogli! Niema ludzi, zginąć musimy! Boże Najwyż=szy!

Marya.

Panie Muryłło, nikt nie może żądać od świata, by wszyscy panowali. Część ma panować, część na urodzonych do tego robić i zasługiwać się. (wstaje)

Muryłło (z przejęciem, całuje M. rękę)

Ruci całować, ruci ściskać pani!

Marya (Anna z Eliaszem zbliża się)

My urodziliśmy się do władzy. Patrz pan na historyę, czy było kiedy inaczej. Ludy ginęły, zawsze pewne rody lepszej rasy panowały. Używać fantazyi sarmackiej, romantyczne wieść życie, w stepy uganiać, w knieje iść z sokolnikami, bułanki zdobywać!

Muryłło (całuje ręce Maryi)

Pani święte słowa! Na kolana padać... ruci całować!

Marya. (z siłą)

A my kobiety tej lepszej rasy, mamy stawać się bohaterami ideałów, oni o nas walczyć muszą, a my w złotogłowiu, w kryształowym pałacu z uśmiechem patrzeć na zwycięzcę!

Murytto.

Idę tam! Mówić będą — trzeba palnąć mowę opozycyjną. Tak, wieść życie tradycyi i basztowych zamków i opozycyą z kordem w ręku stawiać tym, co krzyżowanie rasy chcą wprowadzić. Górą liga, górą opozycya!

Wybiega żywo na prawo.

Anna.

Powinszować Maryniu, umiesz walczyć, gdy chcesz.

Marya.

Chcę walczyć, gdyż mam prawo być szczęśliwą i dostać tego pragnę.

Zbicki.

Pani już tem samem szczęśliwa, że twierdzi, iż ma prawo.

Marya

A pan niemasz prawa?

Zbicki: Ja już niemam, prawo może rzec ten, kto silny, ja

siły niemam. Wołam jak spragniony na puszczy, milion dam temu, kto mi orzeźwiającej wody przyniesie; nikt mnie nie słucha, nikt na świecie...

Anna.

Pan zamłody do słów takich.

Zbicki

Czterdziestka się zbliża.

Marya (siada zalotnie na kanapie)

Anno... (wskazuje oczyma, że ma wyjść)

Anna.

Człowiek w czterdziestu latach, to sama potęga rozwinięta.

Zbicki.

Ja już zwinięta.

Anna.

Wstydź się pan i głośno tego nie mów! Będę się z pana śmiała cha, cha, cha... (śmieje się ochoczo) Przepowiadam panu że się zakochasz, albo już jesteś zalecnie rozkochany, cha, cha, cha...! (wychodzi na prawo, skąd słychać gwar większy i oklaski)

Marya.

Przypomina pan sobie naszą wczorajszą rozmowę.

Zbicki (obojętnie)

Czy przypominam sobie. Myślałem o niej przez noc całą.

Marya.

Kto panu pozwolił o tem myśleć.

Zbicki.

Kto panią ~~myśli~~ słucha, mimowoli później o tem myśli.

Marya.

Dlatego pytałam, gdyż chcę się przekonać, czy słucha mnie pan uważnie i czy przejmuje się moim kierunkiem.

Zbicki.

Czy przejmuję się pani kierunkiem. Pocóż się pytać, kiedy pani wie, że jestem na jej skinienie.

Marya.

To dobrze, bardzo dobrze. Od czasu, kiedy zaczęłam pracować nad panem, aby mu wrócić dawne namiętności, czuję, że mam wpływ na pana. To tylko od wpływu zależy skutek nauki, o którą mnie błagałeś.

Zbicki.

O tak. Do chwili, w której panią poznałem nic tak nie panowało we mnie, iż nawet nie wzruszałem się widząc wal-

ki łyków w Madrycie. Wszystkim moim sąsiadom w loży żyłki nabiegały na oczy, ja stałem żółty jak teraz i wcale mnie krew łyków nie grzała.

Marya. (zalotnie)

Więc panu losy przysłużyły się, że mnie poznałeś. Przyznam się, że może niepowinnam była podjąć się poprawy pańskich nerwów przez wzgląd na mogącą wyniknąć zazdrość męża, ale odgadłszy dziwnie łatwo, rzem jeszcze ostatniem można od zguby uratować, podjęłam się zadania.

Zbicki:

Za którą nagrody nie znajdę.

Marya.

Dziwnie pan to powiedziałeś. To właśnie pana próżnem uczyniło, iż jako nieżonaty nic od kobiet bezpłatnie nie otrzymywałeś. Kobiety, a te były celem pańskiego życia...

Zbicki (żywiej, robi ruch ku M.)

Tak — omiatem służyłem, alem się już przeanielił.

Marya.

Kobiety mają tę właściwość, że natychmiast poznają, kto ma do nich stałość. A że miał pan zawsze dostateczni pieniądzy,

a obracał się prawie między takimi kobietami, które za względy słono każą sobie płacić — prawda że tak — nawet inaczej mówić nie umiesz, tylko o nagrodzie.

Zbicki (wzdycha)

Prawda...

Marya.

One zawsze pewne wygranej, czyhały jedynie na pańską ma-monę panie Zbicki, a pana zbywały czemkolwiek, wysy-sając krew, nie dając w zamian prawdziwego uczucia mi-łości.

Zbicki.

Jak przez sen przypominam sobie, ośm lat temu, zanim zacząłem się morfinować, jedna z aniołów bardzo mi wiele uroku sprawiała.

Marya.

Ale kobieta kupiona nigdy nie jest w stanie prawdziwem uczuciem odwzajemnić się.

Zbicki.

Cóż mogłem zrobić.

Marya: Wszystko zależy od wpływu. Pan sądzi, że Karol

tyle zyskał czem innem, jak upijaniem ludzi!

Zbicki:

Gdyby mnie upił kiedy, jakbym mu dziękował.

Marya.

Siadaj pan przy mnie. (Zbicki siada) Dalej – w drugim rogu kanapy. Tam panu wygodniej, niż przy mnie, a siadanie obok kobiety kochanej przez męża, jest wzbronione, gdy ona bez liczniejszego towarzystwa.

Zbicki.

Dlaczego?

Marya.

Wytłumaczę panu dlaczego, ale później.

Zbicki.

Słuchałbym ciągle pani tłumaczeń.

Marya.

Ale wolę, by pan jak z kamienia, pół martwy to przyjmował.

Zbicki.

Owszem z zajęciem...

Marya. (energicznie)

Ale okazać zajęcia więcej. Więcej romantyczności, serca,

nemcio, też, no płacz pan!

Zbicki.

Zarem mam płakać, majątku nie straciłem.

Marya. (niecierpliwie)

Masz pan uronić łzę natychmiast, wytłumaczę to zjawisko

Zbicki.

Niemogę.

Marya.

Spróbój pan. Wyciągnij chusteczkę i przyłóż do óczu.

Zbicki (wyciąga chust. z kieszeni wypada flaszeczka)

Ach! morfina wypadła.

Marya.

Nieprzyznawaj się pan. Sam sobie humor odbierasz. Płacze już pan? (zagląda Zb. w oczy)

Zbicki (przeciera oczy)

Już.

Marya.

Ile też wypłynęło z prawego oka.

Zbicki.

Albo wiem ile.

Marya.

Poradny pan.

Zbicki (próbuje prawe oko)

Prawe oko zupełnie suche.

Marya.

To popróbój pan lewe.

Zbicki (uśmiecha się do siebie)

Lewo oko wilgotne.

Marya (wstaje, Zbicki siedzi)

Widzi pan. Umiesz płakać.

Zbicki (chce wstać i ucałować rękę M.)

Pani pozwoli.

Marya.

Siedź pan spokojnie. Tłumaczą panu dalej powiem, że dzie-
sięć lat temu niezawodnem lekarstwem dla pana było
małżeństwo.

Zbicki (żywiej)

Dziesięć lat temu już mnie dziewice zupełnie nie obchodziły.

Marya.

Gdybym była starszą i pana przed dziesięciu laty znała, niera-

wodnie wyszukałabym panienkę poczciwą i serdeczną, choć=
by ubogą.

Zbicki.

Ubogo żenić się nie mogłem, gdyż w naszej rodzinie było przy=
kazaniem żenić się równo.

Marya.

Dość na tem, że gdybyś był się ożenił, byłbyś uratowany. Już
od dawna brakuje uczucia, dzieci, serca. Dziś trudny ra=
tunek bardzo trudny.

Zbicki.

Mnie się zdaje że rdza moja do końca niedługiego życia zosta=
nie. Gdyby mi się chciało nabić rewolwer, dziś odebrałbym
sobie życie.

Marya.

A majątek?

Zbicki.

Widziałby ten, ktoby prędzej przyszedł.

Marya (pewnie ale z wdziękiem)

Ale skoro pan zobowiązał się kurs nowego życia musieć
przebyć, wobec mnie staraj się wyrażać najmniej lek=

komyślnie - Słuchaj uważnie! Żenić się nie możesz, kupiona kobieta choćby klasycznej piękności nie rozgrzeje cię, jedynie poświęcenie się jakiej pięknej, mądrej, z równej sfery kobiecie, umiejącej mieć wpływ nieograniczony na pana, i rozbudzić tzy, serce...

Zbicki (rzuca się na kolana)

Ty pani wszystkiem mi dziś jesteś. Płakałem przed chwilą na twe wezwanie po dwudziestu latach suchych oczu i rozpaczanych. Tyś mnie przykuła do siebie, oderwać nie będziesz w stanie!..

Marya (odważnie)

Wstań natychmiast, mam męża!

Zbicki (wstaje i siada)

Masz męża! A co mnie to obchodzi. Lew się we mnie budzi.

Marya (patrzy w Zbickiego)

Nie pozwalam uciekać się względem mnie do ekscesów, masz tylko doskonale pamiętać co mówię i codziennie wieczorem przychodzić do mnie na lekcye.

Zbicki (wstaje)

Przysięgam.

Za sceną od prawej strony słychać oklaski, śpiew chóralny „niech żyje nam”, znowu oklaski, Marya i Zbicki słuchają ciekawie. Z odległości słychać muzykę grającą marsza, na ulicy robi się jasno, muzyka zbliża się. Na to od strony prawej wbiega Trąbiński z serwetą u szyi i kieliszkiem w ręku, za nim Karol, Ramowicz, Żabski, Hilary, Cybulka, Murzyłło, różni panowie źle lub lepiej ubrani, scena się napełnia, za chwilę wchodzi Alma pod rękę z Wandą (~~[illegible]~~) Na ulicy okrzyki „niech żyje”, muzyka ~~[illegible]~~ gra ciągle, okrzyki trwają.

Karol (do Maryi)

Marynio jestem szczęśliwy!

Marya (muzyka i gwary cichną)

Ja obecnie również.

Cybulka (do Karola)

Karolu stanowczo będziesz burmistrzem.

Ramowicz (ironicznie)

Pan cudów dokazał.

<u>Murzyłło</u>: (do Maryi) Parada, jak to bydło umie paradę urządzić.

Trąbiński (który wybiegł na balkon, wraca)

Witecki, żądają byś na balkon wyszedł.

Karol (wzruszony)

Wszędzie wyjdę, gdzie wy mnie wzywacie moi drodzy! Cóż tam będzie, co będę mówić!

Trąbiński (ciągnie K. za poły surduta)

Lepiej wyjdź pan na dół, jak Boga kocham!

Cybulka.

Tak, chodźmy na dół, ręce im uściskamy.

Trąbiński, Cybulka, Karol wybiegają na prawo, na scenie gwar i zamieszanie, dwie dziewczęta po krakowsku ubrane roznoszą wino na tacach. Muzyka i wiwaty ponawiają się. Wanda, Anna, Marya, Żabski, Zbicki na przodzie na lewo, później odchodzą na tył i na balkon.

Stanowicz (występuje z pomiędzy panów)

Więc bardzo uroczyście obchodzimy dzień pana Witeckiego!

Piasecki.

Nasz przewodnik, nadzieja mieszczaństwa!

Sikora.

I nadzieja rolników!

Ramowicz.

Moi panowie! Jakkolwiek czczę i szanuję pana Witeckiego i z wylanem sercem podałem mu dłoń dobre życząc, śmiem moim panom, szczególnie panom reprezentantom mieszczaństwa, tym ludziom, dla których w pracy włos mi się przesiwił, zrobić uwagę, że nie przepoiliście się należycie zasadami głoszonymi przez solenizanta.

Na ulicy słychać wyraźnie, gdyby ktoś mówił.

Któryś z gości

A, proszę, zawsze z nim idziemy!

Ramowicz.

Nie przeczę, że dziwnem się wydaje moim panom, iż tu w jego domu, gdzie widzicie jego osobę tak wiele wróżącą dobrego, gdzie przysięgacie z kielichem w ręku wierności i posłuszeństwo, ja zrobię uwagę, że przekonania jego nie rozumiecie dokładnie. A tak, niedokładnie. Mam na myśli artykuł w gazecie z przed kilku dni.

Piasecki:

Zapewne ten o wyborach burmistrza.

Ramowicz: Tak, sam mi ułatwiasz panie Piasecki. Skorzysta-

jąc ze sposobności, chcę uzupełnić to wszystko, cośmy mówili w gościnnym domu pana Witeckiego. Podaje autor artykułu, zapewne on sam kilka cennych uwag. Wyjątek przeczytam: (wyjmuje z zanadrza gazetę i czyta) Obywatele, nigdy jedną osobę nie obarczajmy ciężarami. Chociaż godny kandydat wiele urzędów, wielu publicznych obowiązków, z tem musimy się liczyć, czy siły jego wystarczą, czy odpowie zadaniu wobec rozlicznych innych obowiązków —
To zdanie dokładnie określa, że nasze stronnictwo z panem Witeckim na czele, każe nad wyborami zastanowić się i wybrać do rady miejskiej samych niezawisłych i mających czas do pracy i siły odpowiednie.

Piasecki (między obecnymi poruszenie)

Omawialiśmy w stowarzyszeniu zaliczkowem wybory i głosujemy na kandydatów niezawisłych.

Ramowicz.

Zapewne pan Witecki kandyduje.

Piasecki.

Kandyduje na radnego i burmistrza.

Ramowicz: Korzystając ze sposobności, śmiem prosić mo=

ich panów o dokładne zbadanie sprawy w myśl słów dzien-
nika naszego. Pan Witecki ciężko pracuje, należy do ludzi
którzy tylko pracę uważają za cel i początek wszystkich
działalności. Wiadomo nam wszystkim że urzędów ma wiele,
w tylu instytucyach prezyduje lub sekretarzuje, iż dziwnem
nawet wydaje się, że wystarcza siłami i dotychczas nie
upadł.

Piasecki:

Gdyż on tylko daje wskazówki:

Ramowicz.

Choćby tyle tylko, już trzeba żelaznej woli, zdrowia ze stali.
Ludzie prawdziwej idei, nie goniący za zaszczytem, patrzący
tylko w spełnienie obowiązków, bardzo niechętnie przyjmują
urzędy wymagające więcej pracy niż pożytku. Ludzie,
którzy rzeczywiście chcą podnieść poziom moralności i cy-
wilizacji zawsze od dołu zaczynają, starają się o dokładny
przewrót przekonań, by tem pewniej wierzyć w zwycięstwo
swoich słów. Nigdy nie ufam ludziom, którzy po władzę
tylko sięgają. Ideałem człowieka jest poprzestanie na jednym
dziale, lecz poświęcenie mu całego siebie.

Na ulicy znowu okrzyki radosne, muzyka gra marsza „Jeszcze Polska nie zginęła”. Na scenie czekają i słuchają Ramowicz stoi osobno. Ta chwilę wszystko cichnie)

Ramowicz.

Niewidzę żadnej w tem korzyści, gdy będziemy drogiego nam i kochanego solenizanta przeładowywać obowiązkami. Sami czepocujemy taką siłę, podamy mu rękę do zarozumiałości!

Hilary (który stoi z Murytło na lewo naprzód)

Brawo, doskonale mówi.

Murytło.

Mówi znakomicie Ramowicz. Panowie zdrowie mecenasa Ramowicza!

Większa część gości.

Niech żyje, zdrowie Ramowicza! i t. d.

Ramowicz odbiera kielinek od stojącego obok i trąca się z kilkoma.

Ramowicz (podochocony)

Pan Witecki zna ludzkie dusze, zna potrzeby uciśnionych, ale przyznam się panom moim, że na administracyi znać się nie może, gdyż jest za młody.

Piasecki.

Właśnie chodzi o administrację majątków miejskich. On chciał wglądnąć gdzie podziewają się dochody, a skąd długi rosną.

Ramowicz.

Pieniądze wychodzą na wzrost miasta.

Piasecki (rubasznie)

Na piwo dla dotychczasowych burmistrzów.

Ramowicz.

Niechcę być radykalnym drodzy moi panowie! Nigdy nie oczerniamy ludzi bez dowodów, jak cała nasza frakcja radykalna! Ale właśnie chcę powiedzieć, że młody człowiek, rolnik, nie może mieć praktyki administracyjnej. Urząd prezydialny miasta opiera się na suchych cyfrach! Panowie! Nie pojmuję moralnego przedstawiciela naszego życia w mieście, nie pozwolimy zagłębić się w suchych cyfrach i drobnostkach! Powtarzam słowa artykułu wyborczego: Obywatele nie okazujcie jednych, jest wielu godnych i doświadczonych!

Hilary (występuje z kieliszkiem w ręku)

Ja jestem ojcem jego żony. Czyż nie zaszczytnie byłoby mnie

widzieć zięcia naczelnikiem miasta! Ale nie widzę w tem korzyści ani dla miasta, ani dla niego! On ma zadość już dziś więcej niż podołać potrafi, naraża się wszystkiemu aż strach bierze panowie! Niech pracuje w swoim zakresie, w tem do niego wykształcił się. Sam nie przyjmie godności, gdyż mówi, że czego kto się nauczył, tem w życiu działać powinien! Podziękujmy mecenasowi Ramowiczowi za jego uwagi. Obywatele — w jego ręce! Niech nam żyje!

Wszyscy (wznosząc kieliszky)

Niech żyje obywatel Ramowicz! Niech żyje mecenas!

Hilary

I burmistrz.

Wszyscy.

I burmistrz! Niech żyje mecenas!

Kilku podochoconych śpiewa chórem „niech żyje nam" na ulicy muzyka gra, okrzyki „niech żyje Witecki", „wiwat Witecki" i t. d. Zamieszanie ogólne, tony i głosy tworzą dysharmonię.

Zasłona spada.

Akt drugi.

Scena przedstawia po wiejsku urządzony salon. Wiele kwiatów i zieleni i mebli z drzewa plecionych. Tył sceny prawie otwarty, przedstawia krytą werandę, przez którą widać klomby, trawniki i drzewa ogrodu. Na ogród słońce pada tak, że w pokoju odbija. Okna i wielkie oszklone drzwi od tyłu otwarte; drzwi na lewo i na prawo.
Marya siedzi na kozetce i trzyma książkę w ręku. Hilary w letniem ubraniu całkiem jasnem chodzi i pali fajkę. Kapelusze słomkowe na stole i parasolka.
Chwila milczenia.

Marya.
Więc ojciec nic na to nie powiada.

Hilary (z niechęcią w głosie)
Cóż mam powiedzieć. Nie lepiej było mi żyć spokojnie.

Marya (skwapliwie)

Ale czem. Czarny chleb mię bawi, ledwo syci.

Hilary.

Kiedy już Pan Bóg mnie ukarał, żem majątek strwonił, tyle mam spokoju, żem ciebie wydał i rentką majątek zięcia oszpecił, nie chcę mieć więcej kłopotów. Dość ich w życiu miałem. A jakie, cóż dziem dosyć.

Marya (wstaje)

Dziwię się ojcu bardzo, że tak obojętnie patrzy na moje plany.

Hilary.

No bo pewnie. Wstyd szlachcicowi w brudne rzeczy wchodzić. Zawiele mam sumienia a zamało bezczelności, by spokojnie robić łotrostwa.

Marya.

Ojcze, córkę tem obrażasz.

Hilary.

Wolę ciebie obrazić niż narażać się i ludzi oszczuć na siebie.

Marya.

I wolno ojcu więcej dbać o siebie jak o szczęście jedynaczki.

Hilary: (czuły) Owszem Maryniu, radbym ci nieba przychylić.

Marya.

Ojciec wie dokładnie, co ja niebem na ziemi nazywam.

Hilary.

Wiem, lecz nierozumiem ciebie.

Marya.

Bo ojciec starej daty i zapieczony.

Hilary.

Niech będzie, że starej daty, ale mi z tem dobrze. Mój Boże, odebrałaś mi spokój. Zamiast kochać swego męża i umieć cenić jak u nas się tworzy, roi ci się po głowie rebelia. Masz aż za przyzwoite utrzymanie, jesteś współwłaścicielką pięknej wsi.

Marya.

To mi szczęścia nie daje. Ja muszę być milionerką i będę nią. O ludzi niedbam, bo oni wszyscy niewyszłowny Karola i sobie myślą a drugim wszystkiego zazdroszczą. Zdobędę sprytem majątek, zniknę z tego niegościnnego kraju i życie przepędzę w rozkosznym zbytku. Są ludy, którym dobrze na łożu z brylantów, ja mam duch taki i dla jakich względów mam omijać szczęście, które ciśnie się do mnie gwałtem!

Hilary. (zapala fajkę)

Czy ciśnie się gwałtem, to pytanie.

Marya

Proszę ojca rzucić fajkę. Gdy dopnę swoich celów ojcu wtedy nie będzie wypadało fajkę palić. To po chłopsku i po naszemu. Za granicą milionerzy palą cygara hawańskie.

Hilary.

Wszak nas ciągle ludzie nie będą otaczać. W zieleni, w cztery oczy to ulubiona fajeczka bardzo dobrze będzie robiła.

Marya.

Ale ja będę się nazywała hrabiną i nie będę mogła znieść smrodu fajczanego.

Hilary (wesoło)

Wszak obecnie dobrze znosisz.

Marya (żałośnie)

Bo muszę, bo jestem nieszczęśliwą męczennicą nieokrzesańców, chłopomanów.

Hilary.

Maryniu mówiłaś tak, przed kilku laty inaczej mówiłaś.

Marya: (rozgniewana) Nigdy inaczej. Krótko, na ojciec pa=

misi. Dlaczego wyszłam za Karola?

Hilary (zapala fajkę)

Bo kochałaś go.

Marya.

Przypomina sobie ojciec, gdyśmy prawie zrujnowani marzyli, że Karol tak sprytny i przebiegły będzie umiał majątku doro=bić się.

Hilary.

Mieliśmy takie marzenia, ale zawsze sądziłem, że to marzenia=mi zostanie. Wnet obok tego szalałaś za Karolem.

Marya.

Właśnie dlatego, by celu dopiąć, dziś aż zanadto rozczaro=wałam się (siada przy stole) Ojcze, jestem bardzo nieszczęśliwa, w Zbichim cała nadzieja!

Hilary (z obawą)

Romans kryminalny, Marysiu! Ludzie cię zjedzą!

Marya.

To mi jeszcze tyle pociechy daje, że połowa ludzi zżyje z dnia na dzień nierozumiejąc wcale potrzeb natury swojej.

Hilary: Poczciwy Karol nie zapomniał o teściu. Dał mi urząd

w spółce zbiorowej, utworzyliśmy w mieście kółeczko swoich, piliśmy winko i cały świat nas obchodził i nie obchodził. Moda teraz stowarzyszenia zakładać. My założyliśmy towa= rzystwo „spokojnych". Polityka, gazety, preferansik, to nasze życie. Ty naraz, własna córka chcesz mnie posłać do Lucy= pera na starość...

Marya.

Wszak ojciec w sile wieku.

Hilary.

Ale usposobienie mam takie, że najmilej mi w swoim kątku. Nie narzucać się nikomu, ustępować zapaleńcom i honoru pilnować. Narażać się to dla mnie ogień pie= kielny! Mam żal niezapomniany do ciebie. I poco to wszystko. Mogłaś bez przewrócenia całej okolicy rozromanso= wać Zbickiego, z mężem tylko rozprawić się i uciec do tego połamanego Łapiducha.

Marya.

Nie mogłam, bo nie umiem jedną ręką pracować. Na to mam dwoje rąk, bym obydwiema działała. Zatem ko= bietą.

Hilary (opryskliwie)

Ja inne mam pojęcie o kobietach.

Marya.

Uznajesz tylko takie, które jeść gotują i dzieci karmią. Lecz ja do takich nie należę.

Hilary.

To bądź przynajmniej taką jak Cybulkowa.

Marya.

Cybulkowa znajduje zadowolenie w romansach apotecznych, mogę jej zazdrościć, ale moja namiętność ciągnie za złotym pałacem. Gdybym nie była się podrażniła Zbickim, byłabym w końcu Karola pokochała, grała na giełdzie i tak dorabiała się majątku, ale dziś, skoro postanowiłam zagarnąć majątek Zbickiego choćby kosztem jego samobójstwa...

Hilary (załamuje ręce, fajka upada na ziemię)

Marysiu włosy mi na głowie stają!

Marya.

Propaguję tylko żywiej twoje idee mój ojcze. Nic nowego pod słońcem. Wrak zawsze marzyłeś o majątkach.

Hilary.

Tak, byle bez narażania się.

Marya.

Zmarnowałeś życie, ale ja nie zmarnuję. Z zawiele cenię moich najbliższych, bym bez litości narażała na męki. Jestem kobietą, istotą drażliwą, niezniosłabym, gdyby Karol rozpaczał i mnie tylko swoją rozpacz przypisywał. Postanowiłam obudzić uśpioną sparzyzę, zamięszać Karola w namiętne walki o przekonania, opętać go niepowodzeniami i klęskami ze wszystkich stron i korzystać z zamięszania.

Hilary.

Więc dlatego musiałem zostać fałszerzem.

Marya.

Czy Karol jest zdolny, by ojcu proces kryminalny wytoczył!

Hilary.

Ale sromota, utrata uczciwości szlacheckiej.

Marya.

Zamówiłam u Murytty głowę, aby Karola a nie ojca oszustem zrobić. Ach, plan trudny, ale pewny! To go tak za-

boli, że o wszystkiem zapomni, będzie bronił jak tygrys, tu w domu Anna ~~serce~~ głowę mu rozmarzy, rozpali, Karol pocznie przegrywać, towarzystwa będą upadać, a ja wyjdę moich myśli, zmięknę, nie — dam się porwać Łbickiemu. Tam u niego, daleko stąd, na podołu zamknę się, będę mu testament dyktować, poezji i spirytyzmu uczyć i napełniać strzykawkę do morfiny...

Hilary /przez czas słów M. szybko przechadzał się i targał się za włosy/ Oniemiałem z trwogi. /po chwili/ Nie, Maryniu, wyznam wszystko Karolowi, ostrzegę przed zdradą.

Marya /wstaje, gwałtownie/

Ani waż się ojcze robić coś podobnego! Siebie zgubisz, to uważaj. Trzeba być głupcem, żeby własnej korzyści nie widzieć. Będziesz ojcem milionerki, milionerki! Rozumiesz ojcze!

Przez werandę wchodzi po chwilce Murytto ubrany w bogaty kontusz i karabelę. Włos ma rozwiany, oczy rozognione.

Murytto.

Bóg z wami szlachta! Całuję ręce pani Maryi. /całuje w rękę M./

Marya (zdziwiona)

Pan Murytto. W kontuszu, co to takiego?

Murytto (pompatycznie)

Dawne czasy wracają! Jak Solon chodził po ateńskim rynku i udając warjata o dobrą sprawę walczył, tak ja jeżdżę od dworu do dworu i wprzód nie odjeżdżam, aż obietnice uzyskam. Płaczę, proszę, zaklinam — o tak, muszę wypłacić cześć minionym czasom! Inni nie mogą poświęcić się, bo mają rodziny. Co mnie tam po majątku. Tyle mam, że synowi dość zostawię. Gdyby ojciec był, on wiele by pomógł. Ten czy pomógłby. On tam na uniwersytecie w Krakowie, głowę mu pewno przewrócą... Wieś jedną poświęciłem i dumny jestem z tego! (wyjmuje papier z kieszeni) Tu, tu spisani członkowie ligi. Tłumimy nowatorstwa. Życie dawne zabłyśnie, wolność szlachecka, cnoty i religia szlachecka!

Marya

W naszym domu prócz mojej sympatji nic nie wskórasz.

Murytto (całuje się z Hilarym)

Pani i pan Hilary. Czołem Hilary.

Hilary.

Ale pocóż się pan pokazuje. Karol jest właśnie w Kornelinie, pan się wygada, a on namota.

Murytto.

Przyjechałem z ważną sprawą od komisyi nadzorczej spółki zbożowej. Trentą wiem, że zaprosił Ramowicza na konferencyę. Ho, ho, zabierzemy się z gorącem sadłem do nowatora!

Hilary (napycha fajkę)

Więc pan wie, kiedy walne zgromadzenie.

Murytto.

Dziś jutro, dwóch udziałowców brakuje do większości. Ale szlachta sierdzi się, żydki zwęchały pejsy różaną maścią smarują. Ha, wiecie, zdaje mi się, że odmłodniałem! To lubię, krzyk, rwetes, opozycya! Dziś tak czuję się uszczęśliwionym...

Hilary.

Także szczególne szczęście tak narażać się.

Murytto.

Żeby największej. Nie każdy człowiek w tem samem szczęście widzi. Mnie do życia trzeba koni, bigosu, strzelby i opozycyi.

Śmiał się ze mnie jeden z zapieczonych posłów, szlach-
cic Laszecki, że przypominam polskiego sejmikowca.
Niech się śmieje, byle do ligi przystąpił. Ho, pokażemy
parweniuszom, że służymy krajowi! Wieś poświęciłem
publicznej sprawie, a jakie wsie moje złote. W gospo-
darstwie postęp dla chleba, w obyczajach stara wol-
ność i stara gościnność! (ironicznie) I to mi się podoba,
że pan mąż ani nie raczył wyjść na spotkanie gościa.

Marya.

On teraz z Sikorą rachunki sprawdza.

Murytto.

Cóż z tego, że tak pracuje, pracuje na swoją zgubę, bo
za stary jestem, abym wierzył, że on potrafi z Polaków
kupców porobić.

Od strony lewej wchodzi Karol i Anna.

Karol (wesoły)

Pan Murytto. Jak miło pod moim dachem powitać nieprzy-
jaciela przekonań. (podaje obie ręce)

Murytto (obojętnie podaje rękę)

Po drodze wstąpiłem, jadę w sąsiedztwo.

Karol.

Nawracać zgubionych. Sympatycznie wyglądała pani przy karabeli.

Murytto

Szabrie, idę serca zdobywać dla przepadających idei.

Karol.

Bardzo rad jestem, że doczekałem się opozycyi. Ona utrwali nasz postęp i kilka powiatów do spółki zyska.

Murytto.

Różowo, różowo panie Karolu. Walne zgromadzenie nad księgami zastanowi się.

Karol.

Wszystko w wzorowym porządku. Prawda ojcze.

Hilary.

/na str./ Co za męki, tak narażać się. /głośno/ A-tak, gdy zajęty krążyć wieści, że walne zgromadzenie zostanie zwołane, wszystkie księgi odwiozłem do Skopeckiego do Woli jako prezesa rady nadzorczej.

Marya.

Jak cietrzewie przed bojem stoicie. Proszę dalej, proszę panie

Muryłło. Nieprzyjaciel przekonań nie pogardzi śniadaniem.

Muryłło.

Rzeczywiście wyschło mi w gardle, bo całą noc gadałem w Wo-lu u Kropeckiego, a dziś rano sześć mil zrobiłem wąskich, ale długich i to po dwóch starkach.

Karol.

Przytem lipcowy upał.

Anna.

Więc dlatego kazałam nakryć pod lipami w altanie.

Muryłło.

Proszę nie robić ze mną ceremonii. Przedewszystkiem przepraszam, żem nie ucałował stopek pani Annie.

Anna.

O, proszę bardzo.

Muryłło.

Przytem przed dwudziestu laty, gdy ojciec pana Karola żył jeszcze, a pan chłopcem byłeś, smarkatym Lolkiem, przecież tu tygodnie przesiadywałem. Bawiliśmy się, bywało inaczej, lepiej... (ociera oczy)

Karol: I długi ojciec po tych zabawach zostawił.

Murytto (bije się w piersi)

Niech mnie tu krew zaleje, jak nie konserwowaliśmy uczciwie tradycyi. A ty panie Karolu wstydź się wymawiać nieboszczykowi, że długi zostawił, z czego żyłbyś dzisiaj, gdyby ci nic nie zostawił.

Karol.

Z pracy, jak żyję obecnie. Inną byłaby praca, gdybym wioski nie miał, inną jest obecnie.

Marya.

Karol wie, że tylko pracą dochodzi się celów.

Murytto.

Dobrze wie i ja tak samo moje cele pojąłem.

Anna.

A ja proszę gościa za mną pod lipy do altany. Pokażę jak cele swoje ludzie pojmują. Zbudować się można. Pan Zbicki od rana wróble strzela i zabiwszy, pruje każdego palcem i we krwi się babrze. Powiada, że to mu przyjemność sprawia.

Marya (nagle przerażona)

Zbicki? Kto mu pozwolił!

Karol (ogląda się na Maryę)

A. Zbicki. Należy do ludzi którym zadowoleniem obrzydliwość.

Marya (uspokaja się)

Proszę, Karolu, on już się bardzo poprawił.

Karol.

Widać szkody go bawią, ciepłe wnętrzności wróbla.

Anna. (z odpowiednią grą)

Ciekawy, zapatrzony swojemi wołemi oczyma w ofiary, a gdy palec krwią umaza, omal nie obliże, tak się: szy się do siebie.

Hilary.

Dobra, chodźmy zajść tego pannicza. Byle nie postrzelił, bobym się strasznie naraził.

Anna.

Nie narazimy się, gdyż po polowaniu napijemy się wódeczki.

Karol.

Więc chodźmy, nie można mu na głupstwa pozwalać.

Powoli wychodzą przez werandę do ogrodu. Hilary idzie z Murytką, Karol z Anną. Anna urywa różę z bukietu i przypina zalotnie Karolowi.

Murytto (prowadzi H. pod rękę)

Panie Hilary, możeby ze Hickiego co zrobić. Taki bogaty, niech da co na cele ligi.

Hilary.

Jest za mało narażającym się. Trzeba on ma swoje cele, chce się strzelać... ojakże...

Reszty słów nie słychać, gdyż towarzystwo już wyszło. Dochodzi śmiech Anny a po chwili bliski strzał.

Marya (która umyślnie została, rzuca się na kozetkę) Jak mnie to nudzi, jak mi tu wszystko żelazem śmierdzi! Zazdroszczę Annie. Wesoła, szczęśliwa, bo tylko intryg w miłości szuka. Dlaczego ja czemuś podobnem nie zajmę się. Jak ocean moja namiętność... Poco ten wyszarzany trup zjawił się. Mnie klęskę zarzyć; by siebie napaść złotem. Ale nie, to przejdzie, zapomni się, a skarby zostaną, właściciel pójdzie do ziemi, a ja z jego złotem zostanę... Ah!... będę szczęśliwa...

Karol wraca szybko od strony prawej.

Karol (trwożnie)

Maryniu, tyś chora...

Marya (zdziwiona zjawieniem się K.)

Skądże? (zrywa się z pozycji pół leżącej)

Karol.

Krzyknęłaś teraz sama, nikogo tu nie było.

Marya.

Były widma.

Karol.

Jakie?.. (chce objąć M. i pocałować)

Marya

Złote widma! (odpycha K.) Idź, nie męcz mnie spokojnej (po chwili) Czy na świecie można być szczęśliwym?

Karol.

Można.

Marya.

Ja i tyle tysięcy ludzi jesteśmy nieszczęśliwi.

Karol. (niespokojnie)

Maryo – już długo dręczy mnie twoje zachowanie. Powiedz mężowi, który cię nad siebie kocha, gdzie ukrył się robak, co ci spokój i szczęście odbiera.

Marya: Powiedz mi wpierw gdzie szczęście.

Karol.

W poskromieniu własnych namiętności, czyli w zdobyciu wolności i służbie drugim.

Marya.

A czy trudno namiętności poskromić?

Karol.

Ci wybrani, którzy potrafią z zaparciem własnego „ja" oddać się na pożytek bliźnich, tem samem bardzo łatwo własne żądze zmożą.

Marya. (zwolna przechadza się wachlując)

Czy ojciec jest szczęśliwy?

Karol.

Wątpię, gdyż zawiele siebie szanuje.

Marya.

A Murytto?

Karol.

Jego opętał duch bronienia martwych, przeżytych obyczai. Celem jego tylko dogodzenie wrodzonym instynktom.

Marya.

A Ramowicz?

Karol.

Zamożniejsza unosi różdżka zaszczytów, choruje z trwogi, czy burmistrzem zostanie. Wsadźmy go na tron, zaśnie zrazu spokojny, by przebudziwszy się o nowe ubiegać się zaszczyty.

Marya.

Więc bardzo mało szczęśliwych.

Karol.

Tylko ci, co dla społeczeństwa pracują i drugich kochają.

Marya (staje przed K.)

A ja, jestem szczęśliwa?

Karol.

Dlatego wróciłem się zaraz mój skarbie, bo przeraziły mnie słowa twoje o Zbickim. Trwożę się o szczęście o błogość twoją i moją własną. Zbicki niepokoi mnie.

Marya.

Trwożysz się o błogość własną. Wszak nie masz namiętności.

Karol.

Człowiekiem jestem i mam je, jedynie zwalczam.

Marya.

A zwalczyłeś zazdrość!

Karol.

Prawie zwalczyłem.

Marya.

Więc poco lękasz się Złickiego. To niewinna moja zabawa.

Karol.

O ciebie się lękam. Tak, słusznie twierdzisz, o swój spokój nie mogę się lękać, bo cóż mi blady Złicki może zrobić! Ciebie niech odkocha.

Marya

Czy bardzo mnie kochasz?

Karol (przyciska M. do piersi)

Czy bardzo! Całym sobą kocham ciebie! Ty mi ostoją, wszystkiem na ziemi.

Marya.

Więc nie możesz być szczęśliwym, gdy we mnie jednej tyle nadziei pokładasz. Mogę zdradzić.

Karol. (poważnie)

Słusznie mówisz. Gdy chcę być szczęśliwym, bo to jedno sobie zostawiam, bym nie gnił gnuśnie i pracował dla drugich — muszę więcej pragnąć nad własny spokój, wal=

cyć z rozkoszą.

Marya. /dumnie wzniośle/

Walczmy z pożarem, który nazywamy zaślepieniem!

Karol. /oziębiony/

Dawne twoje napomnienia. Z jakąż lubością słucham obecnie. Nie uwierzysz, jak mi nagle jakaś zmora przed oczy przeszła, gdy Anna opowiadziała o zabawie Zbickiego. Zabawy takie są zaraźliwe, one mają pociąg dla kobiet. Człowiek, co krwią się bawi ściąga jak wąż wrażliwe istoty i panować potrafi.

Marya /siada przy stole i bawi się bukietem/

Zbicki chyba nad nikim panować nie potrafi.

Karol.

Lecz poco ściągnęłaś go do siebie. Czy nie dlatego, że swoją pozorną oziębłością urok wywarł na tobie.

Marya.

Wolność i walkę o wolność postawiłeś na czele swego programu. Tobie wolno z Anną mówić, czy ja pytam się o czem mówicie i dlaczego chodzisz z nią na długie przechadzki.

Karol.

Gdybyś się zapytała, odpowiedziałbym ci na wszystko bez wahania.

Marya.

Ale nie pytam i zostawiam ci zupełną wolność działania.

Karol. (siada obok M.)

Lecz odmieniłaś się dla mnie. Podejrzenia same płyną, mimo tego, że je odtrącam.

Marya.

Słabym jesteś. Twierdzisz, że tylko ten może posiąść szczęście, kto namiętności się wyrzeknie. Poco' psisz się zazdrością?

Karol. (kładzie głowę na ramieniu M.)

Prawda! Niemam prawa zazdrościć. Maryniu, ja kocham dlatego, że przyrodą ludzką jest kochać, ale nie chcę widzieć upiory między mną a tobą. Wolność to moje marzenie, więc nie mogę ci wolności zaprzeczać, bo sprzeciwiłbym się sam sobie. Ale, gdy losy nas potączyły nic nas dzielić nie powinno, ani linia rozterki duchowej. Pracując dla miłości społecznej, dlaczego mamy żyć ze sobą jak ślimaki zaskorupione. Maryniu wyspowiadaj się. Nie łudzę się

Zbickim, może ja nie jestem dość kochającym. Przysięgam ci, że na większą miłość zdobyć się nie umiem, gdyż cały chcę być miłością. (całuje M. w ramię)

Marya.

Dlatego teraz żyjemy zdala od siebie, bo cały oddany jesteś sprawom publicznym.

Karol. (wstaje)

Nie zrozumiałaś mnie. Ty a sprawa publiczna jesteście równie drodzy. Nie mogę jedno stawiać nad drugie. Zestarzejemy się, uczucia zamkną, a taki człowiek, który dla siebie użycia pragnie staje się Zbickim w końcu. Spełniając moje idee czczę ciebie, bo czczę miłość i wolność naje stolice. Marynia, tyś mi ciężki kamień na myśli rzuciła.

Marya (dobrotliwie)

Nie gryź się kotełku. Uważaj byś nie stracił swoich marzeń. Wrogów masz dokoła, pułapki zastawiają, czyhają na ciebie.

Karol.

Jeżeli pułapki — sami w nie wpadną, mnie niczego nie

odbiorą, bo to, nem życie nie do odebrania.

Marya

Ten odbiorą, ci dotychczasowe pomyślne dzieje i zmiękczenie Ładzą.

Karol.

Mnie nic zmiękczyć nie zdoła. Może tylko goryczy chwilowej spra-wić.

Marya.

Więc nie gryź się marnością, chowaj jad do chwili, gdy nieprzyjaciele uderzą.

Karol.

Ja słabych mam nieprzyjaciół, bym strzegł się.

Marya.

Masz nieprzyjaciół potrzebujących.

Karol. (silnie)

Tych zdepczę!

Marya.

Nie bądź tak pewnym

Karol.

Pewność nie opuści mnie. Patrz, dziś pewny jestem twej miłoś-

ci, mimo, że zdajesz się być lodem. Pewność ta polega na twoich wyznaniach, zaklinałaś się w miłości dla mnie.

Marya.

Stałym jesteś.

Karol (gwałtownie)

Maryo! Ty mnie kochasz, powiesz wszystko, co drżący twoję serce.

Marya.

Chcę być wolną, jak ty nim jesteś!

Karol (surowo)

Nie jesteś wolną, bo nie dotrzymujesz zobowiązań. Podlegasz jakiejś hydrze.

Marya.

Sama zwalczę jeżeli będzie potrzebnem.

Karol (boleśnie)

Więc pozór złączyliśmy się.

Marya

Czyż i nie dajęż mojej miłości.

Karol.

Nie. Kochająca żona tęskni do męża. Mówi mu wszystko

co ją boli, nie sprowadza do siebie takich, co krew liżą, nie stwarzaj mego wrogami! Mając zadanie łagodzenia, spa-ja, nie burzy, słodyczą koi troski. Maryo, będę baczył pil-nie twoje kroki, gdy nieszczęście przyniesiesz mnie i sobie, będziesz się łzami broniła!

Marya.

Nie należę do płaszczących. Za swoje postępki każdy odpowia-da, wszak to twoja teorya.

Karol.

Ale mój zapał dla świętych idei nie śmiesz osłabić! Z utra-tą twej miłości, ja wolność utracę.

Marya.

Karolu, namiętność cię ogarnia, swoje „ja" na podwyższeniu stawiasz.

Karol (łagodnieje)

Prawda!.. (serdecznie) Przebacz, jeśli uniosłem się nerwowo! Mnie to boli, gdy pomyślę, że mnie sercem opuścisz.

Marya (całuje Karola)

Tego ci nie powiedziałam.

Karol: Strzeż się tych, co krew liżą, bo swojej już nie

mają!..

Od strony prawej wchodzi Mgicki.

Mgicki:

Przyjemnie zastać gospodarzy w miłosnym uściśku.

Marya (podaje rękę)

Pan Mgicki, tak niespodziewany.

Karol (swobodnie)

Jak się miewasz zacny obywatelu.

Mgicki:

Cóż z tej zacności, kiedy tobie Karolku niosę złe wróżby.

Widziałeś Myrttę, tego nowoczesnego Solona.

Karol. (Marya odchodzi na chwilę na werandę)

Jest u nas, w ogrodzie.

Mgicki.

Warjat z mokrą głową. Wyobraź sobie, znarowił się na tym punkcie, że nasze towarzystwo zbożowe niszczy stan szlacheski.

Karol.

Zacofany, pęcherz.

Mgicki: Jeździ w kontuszu po świecie i jedną ze swoich wsi

poświęcił na propagandę. (do Maryi) Pani zrozumie to jako kobieta, jak ma samolubne zamiary, a my ocenimy jego głupotę. Dziwne zaślepienie, żeby niewidzieć pogromu dotychczasowych wyzyskiwaczy rolnictwa i nasze procenta.

Karol (niespokojny)

Ale jakie złe wróżby przynosisz.

Męcicki.

Zachwiejesz się mój drogi, wielka burza nadciągnie. Walne zgromadzenie ma silną opozycję, będą żądali zamknięcia rachunków i rozwiązania spółki. Szlachta ma za wiele nawyczek dawnego nierządu.

Karol.

Z piorunną wieścią przychodzisz.

Męcicki.

Kilku zapaleńców na jaw to dobyto.

Karol (boleśnie)

Więc tak szybko ma runąć, co udem zaszczepiliśmy!

Męcicki (macha ręką)

My chyba na zagładę przeznaczeni.

Karol: Czy krzyżowaliśmy Chrystusa, że plemię nasze piętno

nosi na sobie. Maryo, jakaś burza niepowodzeń nadciąga!

Marya.

To ślepa wiara w szczęście.

Karol.

Ależ nie ślepa wiara. Czy upadną, czy pozostaną towarzysze, będę zawsze na straży cnót społecznych. To mnie przepoiło i tego nie stracę.

Męcicki.

Ale oczy ci wykłują ci, których zawiodłeś.

Karol.

Ciebie nie zawiodłem, nie możesz mi wykłuć. A chciwcy, któ=rzy dlatego ze mną trzymają, że mają korzyść, będą i tak zmuszeni milczeć, jedynie źli będą, a tacy po stronie nie ciskają się w oczy. To się wszystkim zostawia.

Męcicki.

Tymczasem przygotuj się. Stąd zatem chcą dybać na twą uczciwość.

Marya (z udanym patosem)

Tem się Karol bynajmniej nie zaniepokoi. Wtedy ja wystąpię z obroną!

Męcicki.

Szczęśliwy natrónek z ciebie Karolu.

Karol

Moja żona nieoszacowana dobrodziejka mego serca.

Słychać strzał.

Marya (z przestrachem chwyta się za piersi)

Ach, jakże się przeraziłam, to on Karolu wróble strzela.

Męcicki.

Państwo tu polowanie uprawiacie.

Karol.

Znajomy nasz, pan Zbicki.

Męcicki.

Który to Zbicki

Marya.

Urodzony z Kuszalskiej.

Męcicki.

Ach, to ten ostawiony sybaryta. Olbrzymią ma fortunę i stary nieużyteczny kawaler.

Karol.

Wyłącznie prawie za granicą.

Męcicki.

Tak, bo u nas baletu niema.

Karol.

O, właśnie nadchodzą.

Od strony lewej przez werandę wchodzą Hilary, Zbicki, Murytło i Ramowicz.

Murytło.

Przyprowadzam pana Ramowicza.

Ramowicz.

Panie Witecki, stawiam się na wezwanie.

Karol (wita się)

Dziękuję, że przybyłeś. Prosiłem pana celem porozumienia się.

Ramowicz.

Służę z całą gotowością. Po walce możemy bardziej utrwalić się w naszych poglądach.

Karol.

Prawda, sprawy i obowiązki przedewszystkiem

Marya.

Zostawiam zatem towarzystwu zupełną wolność. Każdy z panów może to robić, co mu się podoba.

Karol.

Bardzo słusznie. W naszym domu wszyscy szanowni goście powinni być jak u siebie.

Murytło.

Więc ja z panem Hilarym razem

Hilary.

Dobrze, pójdziemy rozmawiać. tylko spokojnie i statecznie.

Murytło.

Pocóż Hilary spokojnie.

Hilary.

Aby nie narażać się

Murytło.

Et, nudziarz jesteś pan stary.

Hilary.

Nie stary, tylko w sile wieku.

Murytło.

Więc narazić się możesz. Chodźmy, dowidzenia szlachta!

Murytło wyprowadza Hilarego pod ramię przez werandę na ogród, Zbicki z Maryą idą w tył sceny. Zbicki ma strzelbę na ramieniu i kilka ptaków w ręce. Marya wyrzuca

ptaki na klęgły i po chwili wychodzi ze Zbickim pod rękę.

Karol (do Ramowicza)

Pan Muryłło zawsze w dobrym humorze.

Ramowicz.

Ma spokojne sumienie.

Karol (wskazuje R. krzesło, obaj siadają)

Wątpię czy spokojne, jego zachowanie zdradza gorączkę.

Ramowicz.

Pan wszystkich, którzy robią inaczej jak pan, nazywasz zapaleńcami.

Karol.

Przynajmniej, ale takich jak pan Muryłło zawsze nazywam.

Męcicki. (stoi)

Dziś w ten sposób agitować, to niezwykłe.

Karol.

Panowie się nie znacie. (wstaje) Pan Ramowicz adwokat, pan Męcicki właściciel dóbr.

Ramowicz (podnosi się i podaje rękę M.)

Zapewne właściciel większych posiadłości.

Męcicki: Tak jest.

Ramowicz.

Zapewne członek ligi opozycyjnej.

Męcicki.

Nie, zwolennik handlu zbożowego na własną rękę.

Karol.

Pan Męcicki jasno rzecz pojmuje.

Ramowicz.

Chociaż ta jasność zawsze mnie dziwi.

Męcicki machnął ręką i założywszy ją w tył przechadza się.

Karol.

Pan jako adwokat nie powinien być przeciwnikiem sprawy wykazującej się cyframi.

Ramowicz.

W zasadzie nie jestem przeciwny, ale spółka przez pana założona tak moje cele w mieście krępuje, iż należę do głównych opozycyonistów.

Karol (podaje papierosy)

Jak rzecz pozamiejska może w mieście krępować.

Ramowicz.

Wpływ pański w mieście utrzymuje.

Karol.

Wpływ mój w mieście wcale nie od tego zależy.

Ramowicz.

Umiałem wysondować, co pana wspiera.

Karol.

Więc stanowczo chce mnie pan poniżyć.

Ramowicz.

Broń Boże poniżyć, lecz chcę, by ja, a nie pan był naczelnikiem miasta.

Karol.

Ja zaś pragnę, bym był obrany.

Ramowicz.

Tak, ale się nie uda.

Karol.

Właśnie chciałbym pana zapytać, co masz przeciw mojej kandydaturze.

Ramowicz.

To przedewszystkiem, że niewidzę nic dla miasta korzystnego, gdy będzie rządził człowiek niemający czasu.

Karol: Któż panu powiedział, że ja czasu niemam?

Ramowicz.

Świadomość pańskich zatrudnień.

Karol.

Czy z ostatnich czasowych burmistrzów robił co który.

Ramowicz.

Pracowali bardzo.

Karol.

Mój panie, należę do ludzi, którzy twierdzą stanowczo, że kto pracuje, nie zostawia miasta w długach i nieporządku.

Ramowicz.

Sprawy tak zawikłane, że rozwikłać nie mogli poprzednicy.

Karol.

Naturalnie, że nie mogli, bo sami wikłali.

Męcicki widząc przechodzących przed werandę Marylę i Hilarego przyłącza się do nich i wychodzi.

Ramowicz.

Obraża pan wszystkich dziś szanowanych byłych naczelników. Żyją niektórzy i niezasługują na podobne uwagi.

Karol.

Gdyby nie żyli, nie krytykowałbym tak surowo.

Ramowicz.

Zrobię skromną uwagę, iż podobna taktyka nie wydaje się godną szermierza szlachetnych idei.

Karol.

Moje idee wymagają właśnie tego, i biczują wszystkich wyzyskiwaczy.

Ramowicz.

I to przyniesie, że ci biczowani zamienią się z biczowanymi. Dotychczasowi przez pana nazywani wyzyskiwacze pójdą na dziady, a obecni reformatorzy poczną wyzyskiwać.

Karol.

Obecni reformatorzy byliby dawno przetrzebili wyzyskiwaczy gdyby ci nie chwytali się wykrętów i nie bronili jak lisy. Widząc, że pan podstępną taktykę względem mnie przyjął, prosiłem pana byśmy się porozumieli. Ja dlatego kandyduję na burmistrza, by tyle czasu znaleźć, żeby popędzać tych co kradną, wyzyskać majątek miasta, i w tym wypadku jestem wyzyskiwaczem – to wszystko, co dobro miastu przynieść może, podnieść siły fizyczne i moralne.

Ramowicz.

Bardzo to piękne, ale pod słowami kryje się co innego. Pan chcesz niejasne mi, tajemne i zdrożne dotychczasowym zwyczajom cele przeprowadzić.

Karol.

Jasne wytłumaczenie zawsze ma u mnie względy. Tak jest, chcę o wolność osobistą i niepodległość jednostek walczyć.

Ramowicz.

Znać się panu to przyda.

Karol.

To jest mojem zadaniem i ~~[illegible]~~ słońcem życia.

Ramowicz.

Złą pan drogę do osiągnięcia wynalazł.

Karol.

Dlaczego?

Ramowicz.

Kilka lat nadspodziewanego powodzenia popsuło pana. Zaniedbałeś to, czego żąda natura ludzka. Żona pańska już w opozycji, to znak, że ani marzyć pan może o zwycięstwach na swojej drodze.

Karol.

Nierozumiem pana. Co pan o żonie powiedziałeś.

Ramowicz.

Mówmy otwarcie. Nauczyłeś pan kobietę równowagę, pozwoliłeś wedrzeć się poza ognisko domowe, dość dotychczas nami rządziły, obecnie otwarcie walczą i najbliższe panu oponują.

Karol.

Tak jest. Kobietom odpowiednio równych praw pragnąłbym udzielić.

Ramowicz.

Więc będąc konsekwentnym, nie możesz uważać za złe, że żona mając słuszne, choć odmienne niż pańskie zapatrywania agituje w mieście na moją korzyść.

Karol (niespokojny)

Nie panie, moja żona, jeżeli agituje, to za swoim mężem. Jesteś panie mecenasie źle poinformowany.

Ramowicz.

Gdy przed tygodniem za granicę jeździłeś, w stowarzyszeniu rękodzielników miała piorunującą mowę przeciwko pan-

Karol (uderza pięścią w stół)

Nie wierzę!

Ramowicz.

Zapytaj się pan pani Maryi.

Karol (uspokaja się)

Naturalnie, musiała mówić, kiedy pan wiesz dokładnie.

Ramowicz.

I nie możesz pan jej tego bronić.

Karol. (zirytowany)

Moja żona przeciw mnie. (wstaje) Nierozumiem tego zupełnie. Coś szarpie moje serce... Miałoby to być przeczuciem, że runę pod gmachem, który buduję. (Do Ramowicza) Nie panie mecenasie, ja będę burmistrzem.

Ramowicz (siedzi)

Ja będę! Wszyscy przechodzą na moją stronę. Pan obrałeś sobie ambicye za wysokie, chcesz wszystko zagarnąć.

Karol. (z siłą)

Ja czuję w piersi ogień, który zapala mnie do czynu. Chcę piętnować wszystko, co sprawiedliwości kamaga się, chcę z bydląt ludzi porobić. Nie mogę żyć bez tego, ogień mnie

prze dalej i dalej! A pan dlaczego chcesz kandydować. Pan masz niezupełnie tajne zamiary, gdyż kto w czterdziestu latach życia nic nie zrobił dla ludzi, ten żądzą jakąś powodowany, chce między nich wstąpić. Co pan chce miastu zrobić.

Ramowicz.

Predewszystkiem jednostkom chcę oddać czego pragną. Od czasu gdym kancelaryę otworzył, pracowałem wytrwale, by dojść do tej chlubnej godności. I jestem jednostką u celu, chociaż pan mi tak przeszkadza. To było i jest zadaniem mojem. Niszczyć niczego nie chcę, trzymam się prawdy, że nigdy nagły przewrót nie wytrawi przesądów ani wpojonych nawyczek.

Karol.

Więc co pan chcesz robić. Czy zaprzeczy pan, że miasto było okradane.

Ramowicz.

Na razie o tyle jestem spokojniejszy, że chcę i zostanę naczelnikiem.

Karol: Więc panu o to tylko chodzi.

Ramowicz.

Obecnie o tem myślę.

Karol.

Więc choruje pan na zaszczytomanię.

Ramowicz.

Jestem zdrowszy od innych, gdyż sam staram się powoli i wytrwale o własne szczęście i nie opieram się na obcych wierności bardzo względnej.

Karol (jakby odetchnął głębiej)

Rozumiem pana wreszcie. Sam dałeś świadectwo na siebie.

Ramowicz (zaniepokojony)

Czy pan zamierza to na forum przeciwko mnie użyć. Jesteśmy na poufnej rozmowie.

Karol.

Chciałem z panem mówić i prosiłem do siebie. Inaczej sądzić nie możesz, tylko, iż między nami to zatrzymamy.

Ramowicz (urażenie – wstając)

Tak to dobre. Nawet lepiej, gdyż w cztery oczy mogę jasno panu przedstawić o co mnie chodzi.

Karol: Wiem, aby dojść godności.

Ramowicz (uniżenie, prosząco)

Nie mając stosunków, własnem staraniem doszedłem powagi w mieście. Pragnieniem, które mnie trawi jest znaczenie i rządzenie. Namiętność tak mnie oplotła jak bluszcz, jak pasożyt, choruję z trwogi, że w czterdziestym piątym roku życia zaledwie radnym zostałem. Urząd burmistrza doda mi blasku, da mi spokój i rozkoszne życie. Z prawdziwą zawiścią patrzę na pana ozdobionego tylu zaszczytami. /po chwili/ Pan mimo chęci nie wydoła, wybierając różnych na różne godności. Panie Witecki, ustąp pan dobrowolnie. Moja porażka to śmierć moja...

Karol (zdziwiony, mówi powoli)

Spodziewałem się u pana namiętności panowania. Z całą gotowością odstąpiłbym panu tę nęcącą i przykrą godność. Bo moim celem nie jest żądza. Pragnę u siebie i u drugich zwalczać żądze. /Zaczyna coraz prędzej mówić/ Dlaczego, wielu prawych mamy i winniśmy się starać, by ich z ukrycia wydobyć. O panu myślałem, nie taję się. Lecz po słowach, które ubliżają panu nie mogę ustąpić. Ja będę burmistrzem.

Ramowicz (podrażniony)

Racz pan zauważyć, że mam silną partyę.

Karol.

Ja silniejszy, bo jasny program.

Ramowicz.

Pan młody i niedoświadczony nie wie, że ci zostają wybierani, który są sprytniejsi.

Karol.

Nie panie, to już w naszem mieście minęło.

Ramowicz.

Przekona się pan, gdy zostanę zwycięzcą.

Karol.

Pana pobije niska żądza.

Ramowicz.

Pana przekona, że żądza tylko dla siły do zwycięstwa.

Karol.

Za dobrze wyborcy wiedzą o co chodzi. O majątku miasta pisaliśmy i mówili.

Ramowicz.

Ale mnie poprą potentaci, który ten majątek dzierżą!

Karol.

Jak bohater będę walczył, wydam wam na pastwę publicznego dobra!

Ramowicz.

Ślepy pan i nierozumiejący życia.

Karol.

A pamflaki sam, jak ci co przedtem burmistrzami byli.

Ramowicz (gwałtowniej)

Więc złodziej!

Karol.

Nie zapieram.

Ramowicz.

Pana własna żona przekona, że łasisz się i ukrywasz samolubne zamiary, panu wszystko to powiedzą, ale nie w cztery oczy.

Karol.

Panie Ramowicz, po rozmowie obecnej podwoję zabiegi.

Ramowicz.

Pan zamilkniesz, bo zduszę cię, co doświadczyli, niem ludzi zyskiwać!

Karol.

Idź pan doświadczeniem walczyć!

Ramowicz (chwyta za kapelusz)

Spotkamy się na arenie! Pan zgnieciony, a ja burmistrzem! (do siebie z lubością) Burmistrzem! Burmistrzem! (do K.) Żegnam...

Karol (z uśmiechem)

A na obiedzie nie zostaniesz burmistrzu.

Ramowicz.

Będę dla wyborców kiełbasę dawał. (do siebie wybiegając przez werandę) Burmistrzem... Niech żyje burmistrz Ramowicz! Ach, będę upojony!.. (niknie w ogrodzie)

Karol (stoi na miejscu)

Mędrki, bardzoś się zbudował? (ogląda się) Niema nikogo... Czy to zapowiedź, że opuszczą mnie! Ramowicz mówił o Maryi. Ona mnie nie kocha. Nie kocha... o to bolesne. Cha! wyrzec się namiętności to bardzo, bardzo ciężko! Tu boleć zaczyna w piersi... pierwszy raz w życiu. Czy to przepowiednia, że runę. Wszak runąć nieśmiem, niepowinienem!

Przez werandę wbiega Anna. Ma roztwartą parasolkę.

Anna. (zaniepokojona)

Karolu co się stało! Ramowicz wzburzony odjechał, nawet nie pożegnał się z nami!

Karol.

Wszyscy się burzycie, bo za wiele myślicie o sobie.

Anna.

Więc chcesz byśmy zapomnieli o sobie?

Karol.

Chcę byśmy wiedzieli, że dla siebie żądać, znaczy nieszczęście sprowadzić.

Anna.

To znaczy nie mieć serca ani nerwów.

Karol.

Nie, to sprowadza równowagę ducha.

Anna.

Święci nie jesteśmy.

Karol.

Ale powinniśmy być ludźmi i różnić się od zwierząt.

Anna: Poco bunt przeciw naturze podnosić!

Karol.

Być dowieść żeśmy rozumne zwierzęta.

Anna.

A gdy oprzeć się pokusom nie można.

Karol.

To walczyć!

Anna.

Jak Tyrteusz do walki budzisz a nie uznajesz walki Ramowicza, Murzyłły i wuja Hilarego.

Karol.

Za słaba.

Anna.

Kiedy innej nie chcą, bo ta im szczęście przynosi.

Karol.

Bardzo rzadko tylko odurzenie.

Anna.

Jestem szczęśliwa, mimo tego, że tak samolubnie żyję.

Karol. /ciężko siada/

Zdaje się tylko.

Anna: Chyba wszystko na świecie jest urojeniem i świa-

domości niema. Wytłumacz mi to Karolu. Wiem że żyję, czuję i myślę i gdy chcę, mogę myśl z jednej strony w drugą przerzucić, lecz pewne wypadki, pewne osoby ciągną ku sobie, nęcą, jak świtezianka. Myśl nieraz chce chęci ujarzmić — nie jest w stanie, oprzeć się niemoże, zaczyna przypatrywać się, lubować w tych marzeniach, wreszcie jak orkan straszliwy wpada, traci równowagę, wiruje szalona! /śmieje się głośno/ Cha, cha, cha... mów mi co chcesz. Te pragnienia, ta namiętność, to życie. Tam rozkosz, zapomnienie codziennych krzyżów cha... cha... cha... /śmiech Anny dziwny, nienaturalny/

Karol. /spokojnie/

Ale tam zaślepienie, w końcu obłęd, szał, śmierć, nieszczęście. Przypadków wyliczę ci tysiące. A cóż tobie się marzy?

Anna. /zalotnie/

Marzy mi się myśl grzeszna.

Karol.

Którą opanować niepotrafisz i pójdziesz w zaślepienie.

Anna: Co mi tam, pragnę żyć, pragnę kochać. Lecz

nie czyń mi żadnych uwag o Żabskim. On nie dla mnie, za poważny, za zimny. Ja wulkan wulkany tylko kochać mogę.

Karol.

Zbytnie gorąco może obie skały rozsadzić.

Anna.

Ale moja miłość wulkana daje stodyszy tysiące. Karolu!.. (chce rzucić się na szyję K. on przerażony zrywa się z siedzenia i nagłym ruchem ustępuje)

Karol (surowo)

Anno! Dlaczego teraz w biały dzień mówisz, o czem miało wyplatać. Dlaczego właśnie w tej chwili, gdy ten wariat w konturzu grozi mi walką, gdy przekonałem się że z potwora. mi zdarzam się! Dlaczego mi to mówisz. Tobie o mnie myśleć nie wolno, ja o tobie niechcę i niebędę. Towiele mi dzisiaj wyrywając z mostu, który nad przepaścią ludzkich ułomności i buduję. Drżę z niepokoju, by mi moich ideałów wypłatelniej nie odebrano, serce mam zakrwawione ~~[illegible]~~ wyobrażeniem Maryi.

Anna: Nie wołaraj Maryi! Święta nie dociekam, co Maryę

z tobą poróżniło. To znika w mojem pojęciu wobec miłości dla ciebie! (chwyta K. za rękę) Ty będziesz mi wzajemny!

Karol.

Więc czego żądasz od wzajemnego.

Anna (namiętnie)

Miłości, rozumiesz co to znaczy.

Karol (zimny)

Miłość tego rodzaju u mnie w poniżeniu.

Anna.

Nie pytam o to. Nazwij to zatem, nazwij zbrodnią męża burzyć przeciw żonie.

Karol.

Mnie nikt nie podejdzie. Kocham Maryę i na tem poprzestaję w wielkiem uczuciu dla płci drugiej.

Anna.

Jako mężczyzna, bez narażania się możesz być dwiem wzajemny.

Karol.

Jako mężczyzna chcę być wolnym i nie krępować się namiętnością. To radzę i kobietom.

Anna.

Serca nie masz, gdy nie widzisz moje rozigrane uczucie.

Karol.

Daj wolność Adamowi Żabskiemu, będę cię czcił jako wolną.

Anna.

Precz z rozumowaniem, chcę kochać i kochać...

Karol.

W sercach ludzkich rozum powinien być panem.

Anna.

Więc nie pozwalasz robić co chcę. Wszak Marji pozwalasz.

Karol.

Rzuć w kajdany nikogo nie myślę, lecz nawołuję do poprawy.

Anna.

Bóg odebrał męża, którego kochałam, więc dlatego mam być nieszczęśliwą.

Karol.

Kochaj tych nieskrępowanych.

Anna.

Czem ty jesteś krępowany.

Karol: Przysięgą miłości i wierności. Kochać kobietę praw=

dziwie jedną, tylko można.

Anna.

A gdy ta jedna nie kocha.

Karol (zniecierpliwiony)

Ale ja ją kocham i to mi szczęście daje. Tobie wolno jednego kochać Żalskiego.

Anna.

Dlaczego?

Karol.

Dlatego, że mogę go uczynić wolnym od rozpaczy.

Anna.

Kiedy nic dobrego dla siebie nie zyskam.

Karol.

To sekret męstwa i wolności, nic niechcieć dla siebie.

Anna.

To nie po ludzku, to twarde i zakonne! Maryę się lekceważy, zemścij się na niej...

Karol.

Nigdy. Na niewolnikach pastwili się panowie. (po chwili) Nawet ja mszczę się. Owszem na sobie, że wpierw nie wpłynąłem,

na Maryę (uderza ręką po czole) Albo wiem, czego chcieć, albo wiem czy umiem kochać, czy godny jestem miłości. Jak w kotle woda kipi, tak szumi mi w myśli! Gdzie podziałem uczucie, że ludzie myśleć zaczynają. Dzikie zwierzęta lub samoluby dokoła, ty także między nimi!

Anna.

Chcę napaść się bom głodna.

Karol.

Mam obowiązek ratowania Adama. Przez ciebie tyle lat pędził po świecie jak wicher, swoich się wyrzekł.

Anna.

Poświęcenie wydaje mi się nieludzkie i smutne.

Karol.

Uważ, że mnie czekają teraz zapasy o życie lub śmierć moich idei, opozycja się podniosła, jam dziś więcej niż kiedykolwiek dla ustępstw przyjemności martwy.

Anna (składa ręce)

Karolu! Dlaczego wdowy mają być nieszczęśliwe, dlaczego ludziom niewolno kochać, kogo się podoba.

Karol: Kochać wolno, nie wolno żądać wzajemności.

Anna (chwyta K. za ręce, pada na kolana)

Ty będziesz mi wzajemny, przy tobie zostanę, będę ci wiernie służyła!

Karol (niespokojny, usiłuje podnieść A. ona opiera się) Czy innego upatrzysz... Anno, wstań, to nie wolnoć błagać, wstań Anno...

Od strony prawej wchodzi Adam Żabski.

Żabski (staje ponury, założone ręce)

Karolu!

Anna (zrywa się)

Ach! W kwiaty dzień!

Żabski.

I ciemne widmo prześladowcy.

Karol.

Masz ją, Adamie. Niechże nikogo, bo wszystko na świecie natu dotyka. Ale przygotować się do ciężkiej pracy. Praca to wierna kochanka!

Odchodzi na prawo.

Żabski

Pani prosiła Karola, czy przyjęgała?

Anna.

Przysięgałam mu miłość.

Karol (z przejmującym uśmiechem)

Miłość?.. Pani wolno czynić, co się jej podoba.

Anna.

A wolno.

Żabski.

Więc i mnie wolno kochać panią.

Anna.

A wolno.

Żabski.

I pani wolno być mnie wzajemną.

Anna

A wolno.

Żabski.

Lecz pani nie chce uwzględnić mego uczucia.

Anna.

Bo wolno mi nieuwzględnić.

Żabski:

Pani wolno pastwić się.

Anna.

A wolno.

Żabski.

I wolno mnie odbierać ochotę do życia, do szczęścia.

Anna.

Wolno.

Żabski.

Wolno nie mieć serca.

Anna.

Dla pana wolno

Żabski.

Zdziwić

Anna.

A wolno

Żabski.

Rozmawiałem niedawno z matką pani.

Anna.

Ja wiem, że mama panu sprzyja.

Żabski.

Powiedziała o spisku pani z panią Marią.

Anna.

O jakim spisku.

Żabski.

Przeciw Karolowi.

Anna.

Mnie wolno robić, co mi się podoba, jestem wolną. Zresztą mama o niczem nie wie i plotek narobiła.

Żabski.

Karol powiedziałby, że wolnym osobom wolno tylko prostą drogą chodzić.

Anna

Miła pani, to panu wolno.

Żabski.

Czy winien jestem, że dawno kocham panią i usycham bez miłości pani. Dziś mam stanowisko, mam prawo założyć ognisko domowe. Gdy na ziemi tyle wolno, dlaczego nie zdołędą ufności pani do mnie, dlaczego w końcu nie pokochać mnie.

Anna.

Boję się pana, byś niebył zbyt srogim i zazdrosnym mał=

żonkiem. Tacy szalejący ludzie i stali w miłości są niewygodnymi małżonkami. Jeżeli pan chce romansu, mogę raz w życiu rzucić panu różę, gdy będziesz mi śpiewał serenadę.

Żabski.

Chcę, byś pani była moją żoną.

Anna.

Mnie wolno nie być.

Żabski (ponury)

Nie igraj pani z rozżalonym sercem. Nie trącaj w otchłań, gdzie nadziei nie ma. W tobie położyłem życie i jego powodzenie, chcę wiele zrobić i żyć pożytecznie, bez ciebie nie mogę i nie będę! Chyba razem stoczymy się pod ziemię, gdy ty mnie nie zechcesz.

Anna.

Cha, cha, cha . . . wolę igrać jak motyl, wolę młodość przepędzić w różanym świecie przygód niewinnych. Pocóż mam iść w szpony tak dzikiego człowieka jak pan. Cha, cha, cha, puhar wesołości mi sprzyja i tego chcę!..

~~W~~ <u>Żabski</u>: Moja namiętność jest wielka i tak poważ-

nej stłumić nie mogę. Ona ma swoje cienie, ale na koniec jasny, wzniosły, jeżeli zaspokojoną zostanie. Dziwię się pani, że nie uznasz potężnej miłości, że nie widzisz, iż przy boku nad życie kochającego, dając mu równą miłość szczęśliwą być możesz. Ten u którego stóp klęczałaś, czy nie świeci przykładem? Mnie to słońce świeci, staram się zbliżyć do niego, ale ty mi jak drugie słońce drogę ważysz a wciąż zabiegasz! On stoi niewzruszony, bez zmarszczka niepokoju mimo, iż tyle wężów syczy na niego i ludzie naraz jak psy rzucili się. Anno, czy wiesz jestem, że bez ciebie jestem prochem!.. Ty pani zamiast płoche a śliskie motyla przybrać kształty, zechciej cząstkę siebie bliźniemu oddać, zechciej mieć serce nadziemne, patrz na Karola, a mnie kochaj...

Anna (obojętnie)

Wolno mi niesłuchać, nie pozwalam mówić.

Żabski:

My ludzie klątwę na sobie mamy. Oddajemy się sobie i ja cierpię, że sobie oddałem się. Ale twój egoizm uważam za straszniejszy. Chociaż uważasz mnie za nieprzyjaciela,

ja ostrzegam. Karol jest zawielki, by wam niesprostał. Tyś fatrzycie mu przysięgała, ty Maryi pomagasz, ostrzegam, byś niepłakała.

Anna

Cha, cha, cha ... /jak zwykle śmieje się zalotnie, wesoło./ moralista! Szczery pan sobie. Wentam w intrygę, gdyż na to żyję na świecie, przed mdami muszę się bronić, by Elwiekim nie zostać. Lecz czuwam nad sobą, po ukończeniu nikomu nawet matce nieznanego dzieła uciekam natychmiast, mam list żelazny przed okrucieństwem zapaleńców — jestem kobietą.

Żabski /zmięszany/

Ale to nie broni przed moją miłością. Pani Anno, jeżeli pragniesz czegoś poważnego, nieodmawiaj. W rozpaczy ostrzegę Karola, zniszczę panią, zmuszę! /chce całować A. w rękę, ona daje mu klapsa/ Zmuszę ciebie niewdzięczko.

Anna.

Groźba ta wcale mi szczęścia nie wróży.

<u>Żabski</u>: Ale ci mówi o poświęceniu się, o ratowaniu

nieszczęśliwego!

Anna.

Cha, cha, cha, patrz pan jakie liczne towarzystwo! U nas bawić się można, szaleć, tańczyć!

Wchodzą przez werandę Marya, Zbicki, Murytto, Hilary Męcicki

Marya.

Anna z panem Żabskim!

Anna (Żabski kłania się)

Mówiliśmy o pogodzie.

Marya (podaje Żabskiemu rękę)

Cóż to, pogoda tak pana zasępiła, oczy masz jak Fra Diavolo.

Żabski (zmrużając oczy)

Hapunie nigdy pogody niema.

Anna (do Maryi)

Ale dla nas jest. Marynia jakże ze Zbickim i z wróblami!?

Marya (do Zbickiego głośno)

Panie Zbicki dość tej polityki, chodź pan do nas.

Zbicki, Murytto, Hilary, Męcicki zostali po wejściu w tyle

i rozprawiają żywo gestykulując.

Zbicki (nastawia ill. przychodzi do niej)

Pan Murytło, mnie mówić jak sam Cicero.

Marya (do Zbick)

Nie dawaj się pan z tymi kameleonami, co mienią się tak, że codziennie inne barwy mają.

Zbicki

Muszę dać coś pieniędzy na cele ligi.

Marya (siada z Anną na boso, Żabicki odchodzi na przód na prawo i patrzy w Annę) Już pan zarazia się życiem publicznem. Zaręczam, że nic ciekawego. Jedziemy dziś wieczorem do skat?

Anna.

Dobrze jedźcie, ja tu będę z Karolem.

Zbicki.

Może panu Karol oderwie się trochę od pracy.

Marya.

Każdy człowiek czem innem się bawi, bo człowiek bez zabawy musi zmarnieć.

Zbicki: Wie pani, raz w Paryżu sprowadziliśmy sobie auto-

ze szympansy do zabawy. Pyszne rzeczy.

Anna.

Na cóż szympanse?

Zbicki.

To właściwie były szympansówne, jeszcze niezamężne za szympansami.

Marya (gamiąco)

Pan zawsze z obrzydliwościami popisuje się. Pojedziemy do skał, będziemy unosić się i czytać Byrona.

Zbicki.

No to dobrze, ale weźmiemy ze sobą strzelbę.

Marya (stanowczo)

Zakazałam strzelać panu i dotrzymam słowa.

Zbicki (jednostajnie)

Życzenie pani dla mnie rozkazem.

Marya.

Z rozhukanego zalecica pan się przerobił w jagniątko.

Zbicki.

Dobrze, w jagniątko, tylko przy tobie pani. (całuje M. w rękę)

Marya: Udawaj poważnego i tak Karol już zazdrości.

Od strony lewej wbiega Trąbiński.

Trąbiński

Jest pan Witecki!

Wszyscy.

Co, co się stało!

Żabski (energicznie)

Jest Karol.

Trąbiński (rozgląda się)

Jakże miłe zebranie. Wypiszę w gazecie, jak bawicie się przyjemnie.

Murytto.

Przerażasz nas kochany redaktorze. Jak bomba wleciałeś.

Trąbiński (jakby nieswój)

Dobrze, że pan tu jesteś. Przyjechałem do pana Karola, by mu powiedzieć, że kwita z przyjaźni!

Żabski (ciągle na uboczu, gdy reszta towarzystwa już się zmięszała) Jakto kwita, w przyjaźni wcale nie żyliście.

Trąbiński. (zawsze urażony)

Nie żyliśmy, ale pismo moje popierało pana Witeckiego.

Murytto (nagle)

Redaktorze Trąbiński! Czy mam wierzyć! Przystępujesz do opozycji!

Trąbiński.

Przystępuję.

Murytto (otwiera ramiona i ściska Trąb.)

Daj pyska wiarusie! Niech błogosławieństwo spadnie na ciebie i twoje dzieci, niech się gloria mundi świeci. To redaktor państwo, jak się patrzy. Stary świat jak może, a pisze kto rzekce, byle pisać! (całuje się z Trąbińskim)

Trąbiński.

Tak jest. Piszę i będę pisał, ale mam dzieci i zarobić potrzebuję. Pytanie, dlaczego mam stać przy jednym, kiedy pisząc i dla tych i dla tych, można użyć z pisania! Porządny redaktor trzyma się hasła: kto ma siłę temu pisz! I słusznie. Mnie, redaktorowi bezstronnej prasy, niewypada uporem się rządzić.

Murytto. (uderza się po karabeli)

Tak jest, niech mi brzeszczot pęknie na dwoje, jeżeli

redaktor niema racyi!

Hilary.

Ale czy się pan nie naraża zbytecznie.

Trąbiński.

Narażam się! Wypiszę panu artykuł na dwie szpalty o narażaniu się. Ja się narażam. A co mi tam do tego. Kto utrzymuje dziennik temu smaruję czernidłem ile wlezie jak Boga szczerze kocham.

Żabski.

To liga opozycyjna więcej zapłaciła.

Trąbiński.

Liga i opozycya w mieście z panem Ramowiczem, jak Boga szczerze kocham.

Muzyłło (nagle)

Victoria! Stan szlachecki uratowany! Daj pyska redaktorze. (całuje się z Trąbińskim)

Żabski.

Ale, pan jeszcze nie rozmówił się z Witeckim.

Marya.

I niepotrzebuje rozmawiać się, mąż sam się domyśli.

Anna śmieje się głośno i wesoło.

Hilary.

Narowająś się Maryniu. Córeczko, ty nabroisz.

Anna.

Cha, cha, cha, piramidalne rzeczy, same motylki za kwiatami goniące! (biegnie do Trąbińskiego i Murytty i ściska im ręce)

Zasłona spada.

Akt trzeci

Scena przedstawia ten sam pokój co w [illegible] jak w akcie pierwszym. Lampa na stole.
Marya i Anna. Anna przegląda obrazy [illegible] w albumie. Marya przekłada się.

Anna.

[illegible] nigdy podobnie podobającego się portretu nie [illegible] widziałam.

Marya.

Wolę krajobrazy i [illegible] przepiórek.

Anna (pokazuje jej obraz)

Ten więcej dla ciebie malowniczy i z przyjemnością [illegible] [illegible] się w piękne wzory.

Marya (Przygląda się obrazowi) Ale [illegible] [illegible] [illegible]

Jerze
wata

Wole

Ten
truję
Man

Akt trzeci.

Scena przedstawia ten sam pokój na książki jak w akcie pierwszym. Lampa na stole.
Marya i Anna. Anna przegląda obraz rozciągnięty na sztalugach, Marya przechadza się.

Anna.

Jeszcze nigdy podobnie podobającego się portretu nie malowałam.

Marya.

Wolę twój rodzajowy: Nemrod na przepiórkach.

Anna (wskazuje na obraz)

Ten więcej dla siebie malowałam i z przyjemnością wpatruję się w piękne rysy.

Marya: (Przygląda się obrazowi) Ależ Karol nie ma tak

pięknego nosa.

Anna.

Mylisz się, jego nos warty całuska.

Marya.

Nigdy go w nos nie całowałam, nie znam wartości jego nosa.

Anna.

Sądzę z obserwacyi przy malowaniu. Przedewszystkiem mniej czerwony i rozdmuchany jak u innych panów.

Marya.

To nos nierozdmuchany piękny?

Anna.

Naturalnie. Wszelkie nosy tabaczne i kataralne nie są podziwem malarzy.

Marya.

Nie znam się na nosach ze stanowiska artysty, ale o nosie Karola nie mam tak dobrego pojęcia.

Anna.

Spróbój go kiedy w nosek uszczypnąć, pojmiesz jak to przyjemnie.

Marya: Ty zapewnie praktycznie doszłaś tej świadomości?

Anna.

Jakto praktycznie.

Marya.

Malując portret Karola zapewne w nos go szczypałaś.

Anna.

Czy to podejrzenie.

Marya.

Żadne podejrzenie. Prosiłam ciebie o zbałamucenie Karola, mogłaś w zapale nadużyć.

Anna.

Albo chodzi ci o to, czy nadużyję. Sądzę, że myśl twoją trafię, gdy do dzieła zabiorę się z całą troskliwością.

Marya.

Dziękuję ci za zrozumienie moich tendencyi, lecz domyślam się, że o korzyściach dla siebie nie zapominałaś.

Anna

/do siebie/ Ona domyśla się /głośno/ O korzyściach nie potrzebuję pamiętać, bo wszędzie same wpraszają się.

Marya.

Same nigdy nie przyjdą. Kto chce czem zadowolnić się, musi

poszukać i pracować na to.

Anna.

Bezwarunkowo, gdy chcę obraz namalować muszę parę dni przesiedzieć. Lecz wyjątkiem są sprawy miłości. O nie starać się nie potrzeba. Miłość jak choroba zaraźliwa wkrada się do serca i rozwija się niepohamowanie.

Marya (z przekąsem)

Zamało się hamujesz, uważam.

Anna.

Bo niechcę uszczuplać się w tem, co mi jedyną rozkosz sprawia.

Marya.

Więc jak widzę wielką przyjemność sprawia ci zadanie przezemnie poruszone.

Anna.

Wiesz Marysiu, czy mamy bawić się w ciuciubabkę.

Marya.

Bardzo słusznie. Z Karolem bawiłam się z zawiązanymi oczyma, źle liczyłam i przerachowałam.

Anna: Dziwię się, że tak mówisz. W Karolu odkryłam

skarby.

Marya (dobrotliwie, siada na kanapie)

Mów Aneczko co myślisz, przedemną nie potrzebujesz taić.

Anna.

Zbałamuciłam go gorliwie, ~~#~~ ale bez myśli. Nawet przed miesiącem w Kornelinie, gdy Łabski zastał mnie klęczącą przed Karolem nieco przesadziłam i tylko dlatego tyle siły miałam, by napiętnować śmiałka, co mi fałsz w oczy rzucał. Ale dziś serce mi płonie! Żono Karola, oblej mi twarz kwasem siarkowym. Kocham twego Karola całą pełnią młodego żaru...

Marya (zagryza usta)

Anno.

Anna (zdziwiona)

Co takiego.

Marya (nagle w złości wstaje)

Wyzyskałaś położenie!

Anna (wesoło)

Wyglądasz jak baletnica, która w złości najlepiej tańczy.

Marya: (nerwowo) Uwodzicielko, niegodna mej przyjaźni!

Anna (nagle poważnieje)

Szkoda, żeś prędzej w złości nie wpadła, byłabym cię rychlej oceniła

Marya.

Czy mówisz, że Karol mnie wyłącznie miłości przysięgał!

Anna (zirytowana)

Doprawdy wdumieć się z ciebie.

Marya (w złości)

Podeszłaś mnie, oszukałaś, wkradłaś się między nas!

Anna.

Dlaczego tu kradzież i oszukaństwo masz zaraz na myśli?

Marya.

Twoje słowa jadem mnie wypełniają.

Anna.

Nieudawaj, grasz komedyę, ale licho. Ty śmiesz mieć pretensy do Karola, przed chwilą pastwiąc się nad nim i naigrawając z jego nieszczęścia i uczuć!

Marya.

Co robię, sama będę odpowiadała. Ale, kto prócz mnie zajmie się goręcej moim mężem, postaram się ubezwład-

nić.

Anna.

Powiedziałaś, że nie lubisz ciuciubabki, a ciągle oczy masz zawiązane. Zawiedziesz się, gdy będziesz tak czyniła. Jesteś rozdrażnioną, że Zbicki wdał się w politykę, że plany twoje chwieją się, a na mnie mścisz się, mimo, że dzielnie dopomagam.

Marya.

Dzielnie dla siebie pracujesz.

Anna.

Dziwaczka. Któż dla kogo innego pracuje. Nie podejmowałabym wtórować ci w zamiarach, gdybym korzyści nie spodziewała się.

Marya.

Nikt tu więcej nie korzystać. Ja, wyłącznie ja, żona Karola Witeckiego.

Anna.

Istotnie, chcesz być szczęśliwą, gdy chciwość się spali.

Marya.

Tak, chciwość da szczęście upragnione. Chcę majątku

Zbickiego, lecz chcę jako milionerka wrócić do męża, poj=
mujesz.

Anna.

Tak szlachetny człowiek drzwi zamknie przed tobą.

Marya.

Ciebie to nie obchodzi.

Anna. (siada na lewo)

Zresztą mnie się podoba kochać tego anioła z całej duszy, z całego serca, ze wszystkich sił moich; mam obowiązek otoczyć go opieką miłości, gdyż bronić go muszę przed rozpaczą i zniechęceniem. Robię to, co powinna robić żona. Ale żona tylko za złotem goni i tak zalana chciwością, że wszystko garnie, co może być jej własnością, nawet człowieka, którego gnębi i depce, byle nikomu nic nie dać, byle tuczyć się grabieżą.

Marya.

Dom mój możesz opuścić.

Anna.

Podoba mi się być w domu Karola.

Marya: (zbliża się do Anny) Każę cię strażą wyprowa=

dzić.

Anna.

Rozczytałaś się w romantycznych baśniach, chcąc Zbickie-mu głowę do reszty zabić i o straży myślisz. Zapewne zdaje się, że jesteś królową i masz własną gwardyę.

Marya (rozdrażniona)

Straż miejska tymczasem wystarczy.

Anna.

W każdym razie pierwej Karol będzie o tem wiedział.

Marya.

Precz!

Anna (do siebie, Marya słucha obojętnie)

On biedny... Chowa w domu jaszczurkę, zowią jaszczurkę, to stara nazwa żon dręczących mężów. Ale ma wszakże mądrą żonę, która machiawelskim sprytem chce sobie wieżę marmurową wystawić i w niej śnić przy blasku przesypywanego złota... Biedny Karolku, tobie należy się się ciepłe ognisko, wygodne gniazdko, w miłości kochającej kobiety byś pięknieł i był szczęśliwy. Karolku — kocham, kocham i kochać będę!

Zostanę przy tobie, gdy parafialna żona pojedzie morfi-
nować Zbickiego... Dlaczego urodziłam się z tak gorą-
cymi uczuciami? Dlaczego od pierwszej młodości miłość
tylko zerwiła moje marne życie...

Marya.

Przestań, gdyż wściekłą być potrafię!

Anna (spokojnie)

Bankierzy i giełdowicze nie powinni się wściekać, bo prze-
grają.

Marya. (silnie)

Obecnie bronię swych praw do Karola i rozkazuję byś
dom opuściła!

Anna (gwałtownie)

Nie, nie opuszczę! Karol mnie nie opuści!

Marya (rzuca się na Annę)

Precz Hetero! Precz Phryne!

Wchodzi od strony prawej Amelia i widząc co się dzieje
szybko obie rozdziela.

Amelia.

Maryniu!

Anna (rzuca się z nagłym płaczem Amelii na szyję) Mateczko, już nie pojadę do Zakopanego! Zosta=nę tu, przy Karolu. Będę mu słała pomyślniejsze gniazdo. (płacze cicho)

Amelia (surowo)

Kobiety, dość wojny poza domem, dziecie powiększyć!

Marya.

Ciotko, nie zniosę by Anna mi w drodze stawała.

Amelia.

Tak jest Aneczko. Na nasze zmartwienie zjechałyśmy tu=taj. Już bo ty Marysiu sama nawarzyłaś piwa.

Anna.

Opętało ją.

Amelia.

Skaranie boskie z młodymi. Kiedy młody opętany, pi=jawki postawię na czoło, dopiero uspokoicie się.

Anna (napół ze śmiechem i płaczem)

Marysi postaw trzydzieści jeden na brodę i na palce, bo strasz=nie łaskoce. Cha, cha cha... (zaczyna śmiać się wesoło)

Amelia: Żart żartem, ale szczerze się niepokoję. Aneczko,

zostaw im niech się pracują, tyś masz Żabskiego, on taki szlachetny i wykształcony, także cię kocha.

Anna.

Ee Żabski. Szalony i zazdrośny. On biłby mnie w tydzień po ślubie.

Amelia.

Proszę cię bardzo Aneczko. Ludzie są różni na świecie, i bardzo wierzę, że on bez ciebie zmarnieje. Karol nie rządny kobiet, on gdzieindziej swego szuka. Nie zna ciebie, zasadzi do pracy przy biurze.

Marya.

Każe w szpitalu chorym usługiwać, bo jest próżniaczką, bez zajęcia.

Amelia.

Aneczko, matka cię błaga i zaklina byś o Adamie pomyślała na chwilkę. Przekonasz się do niego.

Wczasie ostatnich słów wchodzi Żabski od str. prawej.

Żabski (z głębokim ukłonem)

Błogosławieństwo tobie zacna kobieto. Zrozumiałaś moje szczęście i pragnienia. (do Anny) Pani Anno, proszę

o łaskę, poświęć mi chwil kilka, wybadaj, doświadczaj jak ci się podoba, ale nie odtrącaj człowieka, który do ostatniego tchnienia o tobie będzie myślał.

Marya /bardzo układnie/

Pan prawdziwie godzien podziwu i szacunku.

Żabski:

Pani:

Marya.

Przyjaciel Karola w chwili, gdy on dobywa wszystkich swą energię, niezapomina o obowiązkach serca i przychodzi tu, gdzie go serce pędzi.

Żabski:

Czy to ma być wyrzutem?

Marya.

Owszem pochwałą. Karol walczy, bo rozumie walczy, pan dziś nie wiele mu pomoże, stosunków pan nie zna jako on, wszystkiego, a obowiązek spełnia pan święcie.

Żabski:

Niedorosłem do wysokości przyjaciela.

Amelia: Jakto nie. Zresztą pokaże się w przyszłości kto lepiej

wyjdzie.

Żabski.

Niemogę głosu wydobyć, myśli zebrać, brakuje mi do mędrca tyle, ile brakuje ludziom do doskonałości. /do Anny/ Ty pani los mój w rękach dzierżysz.

Anna.

Czy winnam, że panu dać go nie mogę.

Żabski:

Możesz, zwalcz się trochę.

Anna.

A pan zwalczyć się nie może.

Żabski:

Nie dałem próby dostatecznej. I pocóż mam odcinać moje marzenia, gdy one mi świecą i prowadzą.

Amelia.

Aneczko, wezmę cię na rekolekcye.

Żabski.

I mnie pani weźmie, będę się modlił, pani Anna na tronie usiądzie. Wymodlę wreszcie, choćby łzy poorały moje oczy.

Od strony prawej wchodzi Murytło ubrany w strój zwykły.

Murytło (niespokojny)

Czy nie było tu pana Zbickiego?

Marya

Wyszedł z popołudnia, wyrwał się przemocą, chociaż puścić go nie chciałam.

Murytło (żałośnie)

Z pewnością w magistracie. Tolaż moja jeden głos, jeden głos!

Anna.

Pan ma tak głos donośny, że podzieliłabym na kilka części.

Murytło (z wyrzutem)

Panience nie trzeba śmiać się, gdy o wielkie dzieło chodzi. On tak mi potrzebny. Państwo, powiedzcież gdzie on jest, wyszukam, gońców roześlę.

Żabski.

Nie jestem pewny, ale zdaje mi się że w magistracie.

Murytło.

Czas gorący, państwo jego mi trzeba.

Marya: Pan nie nierzpka gdy tu o niego będzie pytał.

Trzeba go wyciągnąć z sali wyborczej i do siebie zaprowadzić.

Amelia.

A jakie wieści z pola bitwy. Tak o Karolu pamiętacie.

Murzyłło (z zapałem)

Victoria pani dobrodziejko! Bijemy nowatorów! Pogrom hajdamacki! Pociecha mi w sercu rośnie. Hotel narodowy szumi szlachtą, opozycja stawiła się jak jeden mąż. Aż miło się patrzeć na nich. Wszystko zdrowo wygląda, rumiane, krew z czoła chce trysnąć. Bijemy, wiwatujemy w imię najuztwa! Szumi, wre, kipi moi państwo! (robi odpowiednie ruchy) A partja przeciwna Łokciarzy, kupców, co to nierogaciznę odważyliby się handlować, gdyby między mieszczanami mądości było zgorników – To wszystko, aż ustydł moi państwo, miny naciągnięte, krzyczą, lepiej piszą o poprawie rzeczy pospolitej, a chodzą cicho, gdyby bali się własnego cienia! (zamaszysto i głośno) Victoria panie Łokcki! Nie damy się, osiądę na laurach i takie dam polowanie na resztę opozycji, że okolica od pradziada podobnego nie zapamięta! Z jesienią moi państwo pół lasu w Chodorówce sprzedaję i stawiam pałacyk mupliwski. Niech mnie

Kaczka kopnie jak nie postawię! (znowu niespokojnie) Ale pan Zbicki, Zbickiego mi potrzeba!

Marya.

Powiedziałam, że tu go pan nie znajdzie.

Murgtło

Więc gdzież go mam szukać, dla Boga, jeden głos przeważa! Jeden głos moi państwo, a victoria!

Anna. (Amelia siada na prawo)

Dobryś pan sobie. Idź do magistratu i polityka za uszy wyprowadź.

Murgtło (zdumiony)

Za uszy... (spostrzega się) A no tak, rozumiem. Któryś to pan Karol to magnes, to pijawka. Póty obrabiał Zbickiego, aż zrobił z niego postępowca.

Anna.

Widzisz Marysiu nadziałaś mi wierzyć.

Marya (szyderczo)

To wszystko pozorne. Wiedziałam o tem dawno.

Anna.

Zdaje się. Zanadto ufasz sobie

Marya. (sinnno)

Ta swoje sobie odpowiadam.

Anna (nowetko)

Niech będzie.

Żabski.

Panie dziś niesą z siebie zadowolone.

Marya.

Zapewne. Dla Karola taki ważny dzień

Anna.

I dla Maryni, gdyż wychowanek Ibiski pierwsze kroki na arenie politycznej stawia.

Marya.

A Anna cieszy się z tego by Karolowi dokuczyć, którego nie-znosi.

Murgtto (zadziwiony)

Nieznosi. Słyszałem od pani Cybulkowej, niech ją Bóg strzeże, gdyż ojciec jej jako sekretarz opozycji stoi w hotelu naro-dowym i nawet widzieć się z córką niechce.

Marya.

Przewrócono jej w głowie.

Anna (z przekąsem)

Anioł nie kobieta. Tyle poświęcić dla miłości.

Murytto.

Ależ pani. Mnie się zdaje, że głuptasa paluchta i będzie ratować.

Żabski:

Utrzymuję, że jest bardzo rusiliwą, bo pływa w swoim sosie.

Murytto.

Ale nie odpowiedziałem pani Annie. Ona mówiła, że pani i pan Karol...

Anna (z wyrzutem, przerywa)

Szkoda, że pan poważny. Zasługujesz na miano źle wychowa-nego.

Murytto (przestraszony)

Ależ wytłumaczę się...

Anna. (zirytowana)

Nie pozwalam... To wojna prawdziwa...

Wybiega na lewo)

Murytto (zasmucony)

Nie chciałem obrazić, wierzcie państwo. Do diabła moja gęba czasem mi niestatkuje. Proszę przeprosić panią Annę, powie-

dzieć, że cierpliwy strzelec ten nie zawsze trafia. A zresztą w borze odwyknie od salonu...

Marya (przerywa energicznie)

Pan tu rozmawia, a zapomina o obowiązkach!

Murytto (gdyby sobie coś nagle przypomniał)

Ach prawda! Więc gdzież jest Zbicki, państwo, dla Boga!

Amelia.

Z panem dogadać się nie można. Panie Adamie, idźmy na schody

Żabski.

Służę pani!

Amelia (odchodząc z Żabskim na prawo)

Ja córkę dla pana przerobię. Ty udawaj więcej pobłażliwego, więcej czułostkowego... potrzeba... (wychodzą)

Marya (szybko do Murytty)

Więc jakże.

Murytto.

Może za półgodzinki zacznie się posiedzenie. Mowy z zarzutami przeciw Karolowi obrani. Siedzą się jedni, bronią drudzy, zgiełk, chałas jak w ~~[illegible]~~ karczmie. Wino szumi, wre

uciecha — z drugiej strony smutek, powaga...

Murytto.

Co pan myśli o mnie, o żonie Karola. Powiedz pan otwarcie, tu w cztery oczy.

Murytto.

Cała liga opozycyjna nosiłaby panią na rękach.

Marya (zakłopotana)

Ale mnie chodzi, że jako żona występuję przeciw mężowi.

Murytto.

Cóż to znaczy. Pani jako dobra żona trenuje męża. Wszak on wie o tem, pani wszystko jawnie robi, on wie co go czeka!

Marya (niepewnie)

No tak jawnie, ma się rozumieć... prócz naszego fortelu dyplomatycznego.

Murytto.

No tak, oszustwo ja podsunąłem. Chciałem wywalczyć moją pracą krwią. Bóg mi świadkiem! Hilary dzielnie się spisał. Tu źle załączył, tam rubrykę przemienił, tu czegoś wpisać zapomniał w wykazach — całość wygląda na niedbałość i opieszałość, nie tyle na oszukaństwo. Bóg mi świadkiem,

szanowna pani. (Wpada w wzniosły patos) Ależ hanży będą nieboraczka. Niech zje gorzką pigułkę. Boże, gdyby zacne jego ojczysko wiedziało, że syn taki rewolucionista... (ocie: ra łzy rękawem)

Marya.

A pewne zwycięstwo.

Muszyłło (z zapałem)

Jednego głosu! Absolutna większość ze Ślickim! Pani, gdzież on kryje się dla Boga. Nabob, milioner, żeby centa nie: dał na cele opozycyi. Ja wiem poświęciłem! Pani Maryo! On do ciebie taki się przywiązał, w domu twoim zna: lazł schronisko dla swego skołatanego ducha i zdrowia. Wiem, że co prawie, światem będzie dla niego. Ty dobro: dziejko naszego stanu! Ty, nie kto inny rozdmuchała bit: wę dzisiejszą, wszyscy to mówią, wszyscy ciebie na ustach mają... (przez ten czas całuje M. Wilka razy w obie ręce)

Marya (przerażona)

Czy być może. Mnie za ofiarnicę ludzie mają?

Muszyłło.

Wielbi ciebie szlachta, co ci do innych, wielbią ciebie ludzie!

Jednego głosu mi potrzeba, jednego, jedynego Zbickiego. Ja go tu ściągnę, pani mu rozkażesz.

Marya.

Ma pan ołówek.

Murylło (rucha)

Służę pani (podaje ołówek)

Marya (siada do stołu, pisze)

Przybywaj pan natychmiast. Proszę i rozkazuję, ustnie opowiem dlaczego. Marya. (wstaje i mówi) Inaczej nie przyjdzie. Komu na chwilę ulegnie, trzyma się, lecz mnie posłucha sądzę bez wahania. (daje kartkę Murylle)

Murylło (całuje Maryę w rękę)

Bóg zapłać pani Maryo. Jeden głos, jeden jedyny Zbicki!

Wybiega na prawo i zdera się w drzwiach ze Zbickim właśnie wchodzącym. Zbicki śmieje się ironicznie.

Zbicki.

Co się stało panu Murylle.

Marya (założnie)

Wreszcie doczekałam się pana. Pan, stary sprawom publicznym, lecz czy stygnął pan, żeby rycerz i trubadur wdawał

się w tak codzienne sprawy.

Zbicki. (siada ciężko na kanapie)

Intryguje mnie księżniczko ten wykrzyk zaciekłego Litwina.

Marya.

To człowiek jakich wielu. Mało mu do szczęścia potrzeba, dlatego nigdy go nie dosięże. Bardzo wielu ludzi żyje z dnia na dzień, o niczem nie myśli i udaje, że dobrze im na świecie.

Zbicki:

Czego on chciał odemnie.

Marya (przygląda się Zb.)

Pan jesteś trochę rozdrażniony.

Zbicki.

Ja — zawsze jak skrzypiące koło.

Marya.

Oczy panu dziwnie migocą.

Zbicki.

Chyba od gorąca jakie panowało w sali wyborczej.

Marya (bierze Zb. za rękę)

Ręka drży.

Zbicki: Ona od dawna drży jak osiczyna.

Marya (z niepokojem w głosie)

Dziś więcej.

Zbicki.

Gdym pewnego razu w Paryżu, nie we Wiedniu kąpał w szampanie woltyżerkę z cyrku Renca, to mi później tak samo w uszach szumiało, jak dziś po tych pienistych mowach w ratuszu.

Marya.

A – pochwalić cię muszę bardzo.

Zbicki.

Dziękuję ci księżniczko

Marya. (z ekspresyą)

Nie dziękuj, będziesz później dziękował, że znalazłam zdrój ożywczy dla ciebie. Podoba mi się słowo: pieniste mowy. Dobrze, tylko dalej w lasy słów, w odmęty łagodnych a silnych marzeń, w miny między bluszcze prące, nad ruczaje wysłuchiwać dziewanny, do kwiatów woni pić, do poetów, ich dźwięków się uczyć...

Zbicki (przymyka oczy, po chwili)

I umrzeć...

Marya.

I umrzeć w upojeniu, wśpół postać nad skałą mchem porosłą, między które owce biegają, a pasterz pasterce miłosne pienia gra na fujarce...

Zbicki.

Aby później umrzeć.

Marya.

Aby umrzeć w rozkosznych snach przeplatanych dzikim śpiewem puhacza i rykiem niedźwiedzia!

Zbicki.

Pewien obywatel tego miasta tak mówił, że zdawało mi się, iż niedźwiedź ryczy.

Marya. /niby w natchnieniu/

Ten obywatel biedny człowiek i nieszczęśliwy. On majątku niema, więc musi jak dziki zwierz ryczeć i ubijać się za czarnym chlebem, ale ludzie losem wybrani, który rojeniom dogodzić mogą, na urwiskach zamki budować, mogą w złotych sukniach chodzić, używać jagód leśnych na koralowych misach, i ludzie krzywdzą się, jeżeli nie spieszą w kraj ideałów a tarzają się po ziemi

w szarem błocie. Zapominają, czem być winni i zaniedbują szczęście, które tylko dla nich ~~po~~ nad ziemią wałęsa się.

Zbicki.

Szczęście rzeczywiście wałęsa się i pełza jak gad po ziemi.

Marya.

Ono samotnie buja, wieje nad wsie i miasta, a tylko na tych wpływa, który mają otwarte ramiona dla cudów nadziemskich, dla świata duchów i widziadeł.

Zbicki. (przejmuje się)

Wiesz, marzyłem niedawno, może w południe o zamku, któryby wisiał w powietrzu, albo miał tak wieżę wysoką, iżby jej szczyt chował się w chmurach.

Marya.

Jakto piękne

Zbicki.

Wierzę tobie w zupełności, że szczęście nad ziemią zawisa. Nie, ona nie pełza po ~~ziemi~~ drodze. Tyle świata zwiedziłem, tyle zaznałem przygód...

Marya.

Jeszcze dawniej, gdyś był młodszym.

Zbicki.

Jeszcze nim zacząłem zażywać morfinę, i nigdzie nie spotkałem tego, coby dało zadowalające uczucie.

Marya.

Aż dopiero obecnie czuję, że wkradam się w krainę szczęścia.

Zbicki.

Coś mi mgli przed oczyma i poczyna się zdawać.

Marya.

Dawne zmiękczenie piętnuje dotychczas! Siły młodzieńcze!

Zbicki

Cha, cha, cha, młodzieńcze!

Marya (surowo)

Zabraniam wybryków. Do czego doszedłeś wybrykami. Że ludzie naigrawają, że sam jak żółw toczysz swoje dnie, że musisz przemocą zdobywać chwile rozwagi.

Zbicki (wstaje i całuje rękę M.)

Mów księżniczko, mów najwięcej i ubieraj serce moje kwiatami – tylko nie marszcz brwi na mnie.

Marya.

Zbierz resztkę sił i daj prostą drogą tam, gdzie ci wska-

znaję. Niech ci się zdaje, że jestem zaklęta, że jak anioł wio=
dę cię tam, gdzie jeszcze nie byłeś, gdzie spokój, zapomnienie
przeszłości, nowe życie słodkie i czarowne. Chcesz tego?!

Zbicki (zapala się)

Chcę życia nadziemskiego, chcę stracić widok tej skorupy
po której chodzę!..

Marya (poddaje)

Słuchaam.

Zbicki (prosząc)

Włóczę się jak podlec. Chcę Maryo, mój aniele. Przysięgłem
ci wierność, przysięgłem ci niewolnicze posłuszeństwo, czego
żądasz więcej, mów mi, mów! (klęka i bierze M. za rękę)

Marya (pompatycznie)

Masz wrócić w swoje po przyjaciach mury, masz tam błądzić
nocami przy pełni księżyca, masz patrzeć w swego anio=
ła jak Noe w tęczę potrzyt, bo ona zwiastowała mu no=
we życie, odmłodzenie, odrodzenie, Masz mieć przy sobie
swego anioła!

Zbicki:

Wszak ty Maryo jesteś moim aniołem!

Marya.

Chcesz tego!

Zbicki.

Pragnę.

Marya.

Więc porwij go sobie, otul swą miękką dłonią, tarzaj się przed nim w pokorze, ściel mu drogę kwiatami i kadzidłem powietrze twemu aniołowi oczyszczaj, uprowadź go przemocą choćby zaraz!.. Potęga duchów nadziemskich wspierać cię będzie!

Zbicki. (patrzy niepewny)

Więc porwać mam ciebie od niego.

Marya.

Ha! Wola duchów wszechwładnych. Ratować i strzedz się pójdę, gdy będziesz stąpał po różach!

Zbicki. (radośnie)

Maryo nadzieja we mnie wstępuje.

Marya.

Niech słowo czynem się stanie.

Zbicki: Mów co robić. Wszystko dla anioła, co żyje

we mnie, co dyszy we mnie. Mów co robić!

Marya.

Wstań! (Zb. wstaje) Niech duchy będą z tobą. Pochyl się przed tym świętem, uderz się w piersi, idź za dom ten, pędź biegunami do Kornelina. Tam powiedz mojej słuzebnej Róży narwiskiem, by wszystko do podróży przygotowała, ja każę moje rączce konie do wozu zaprządz, pojadę za tobą, ty zaś oczekiwać mnie będziesz w altanie powojem i winem otulonej, przypięgniesz mi jeszcze raz całego siebie i w zamki swoje powiedziesz! Idź i wypełnij.

Zbicki (w zachwycie)

Maryo!

Marya.

Idź natychmiast.

Marya prowadzi Zb. na prawo do drzwi za rękę. Zbicki wychodzi. Marya wraca od drzwi szybko.

Marya (rzuca się na kanapę, mimo to n)

Victoria zawołam z Mrzyttą! Całe życie strawił na rozpuście, wiedziałam, że romantyczność głowę mu skuteczniej zawróci. Niedługo pociągnie, zatruję go narkotyk-

a ja milionerką...

Od strony lewej wbiega zdyszany Karol. Surdut ma rozpięty, włosy w nieładzie.

Karol.

Maryo przybywam natychmiast. Uciekłem z piekła przewrotności!

Marya (zdziwiona)

Karolu, kto cię wzywał, co ci jest.

Karol (dobywa kartkę)

Murzyłło dał mi kartkę od siebie.

Marya (do siebie)

To głowa cieląca.

Karol.

Skończyłem mowę i śmiechem i gwizdami przyjęła mnie lewica. Chciałem się bronić, ale twe życzenie było mi droższem. Potrzebowałaś mnie, nieprawda? Może tęskniłaś za mną, i obawiałaś się tym nie drażnił się niepotrzebnie. O, było się czem drażnić. Brud, mamona, koterya wzięły się za ręce. To czartowska siła!

Marya: Więc Damowicz zwyciężył.

Karol.

Jeszcze nie, ale wyższy.

Marya (zaciekawiona, wstaje)

A ty.

Karol. (podnieciony)

Albo ja wiem. Tyle wiem, że dalej będę pracował. Czy mnie potrzebne burmistrzostwo. Nigdy! Wolę być cichym, niewidzianym, bo tak nawet lepiej bronić małych i niewidzianych.

Marya.

Sądziłam, że przegrana więcej cię zaboli.

Karol.

Pierwsza w życiu i nie lekka. Boli mnie wewnątrz, rozpiera cierpkie uczucie, ale chcę stać niewzruszony, chcę być silnym i nie tracić mego słońca!

Marya.

Chyba źle czujesz, że tak mało przejmujesz się doniosłością wypadku.

Karol.

Trochę więcej samolubstwa, a załamałbym się w zawodzie o siebie, myślałbym, że mi przewrotni ludzie odbiorą wszystko=

co mi drogie na ziemi, że wszystko odbiorą. Lecz nie uda się zwierzętom człowieka pokonać, człowiek zawsze najwyższy na ziemi!

Marya.

Dziwię się tobie.

Karol. (patrzy na M.)

Jedna rzecz zostawia mi równowagę.

Marya (ciekawa)

Jaka.

Karol.

Ty Marysiu droga.

Marya.

Obiecałeś, że usuniesz mnie na bok przez czas walki.

Karol.

Ciebie nigdy nie usuwałem.

Marya (z czułością)

Dziękuję ci za to.

Karol.

Czy mogłaś tak czarno o mnie sądzić!?

Marya: Ale skoro tak mało się mną zajmujesz

Karol.

Zajęty tobą jestem od rana do rana, lecz niechcę, byś na męża powiedziała, że jest tyranem i wolę krępuje.

Marya.

Nie krępuje się woli, gdy śledzi się kroki ukochanej, gdy rady ~~xxx~~ daje i radzi się wzajemnie gdy czuwa się nad wzajemną własnością i niepodzielnością zasad.

Karol.

Być może, że niemam zdolności na dobrego kochanka. Wybacz moją nieudolność, ale wierz święcie, że ty jedyna całe uczucie miłosne ogarniasz i ty sprawiasz mi niepokój i niepewność.

Marya.

Niechcę w to zanadto wierzyć.

Karol.

Więc jak wytłumaczyć... Trwożysz Marysiu. Mówiłem ci, że kroki twoje będę śledził, byś żądała wolności, ja ci ją zostawiłem, czego więcej żądasz... Marysiu, czy ty mnie kochasz?

Marya: A ty Anna. (siada na lewo na krześle)

Karol (z podziwem)

A... rozumiem. O Annę ci chodzi. Bądź spokojną, nie umiem być wiarołomnym, jestem stałym we wszystkiem, co z mego serca wyszło, co ukochałem.

Marya.

Niechcę dokładniej wchodzić w wasz stosunek.

Karol.

W jaki stosunek. Kilka razy namawiałem Annę, by nieszczęśliwego Adama przyjęła.

Marya.

Ale namawiałeś za blisko i za gorąco.

Karol (poważnie)

Do obecnej chwili tak z tobą postępowałem, że słowa moje powinny ci wystarczyć.

Marya.

Postępowałeś dość niejasno.

Karol (surowo)

Czy zaprzeczysz, że mię kochałam? (Marya nie patrzy się w K.) Dlatego nie dodawaj mi jadu do rozdrażnionych myśli, nie o Annę mi teraz idzie, ale szukam w domu

ukojenia, gdy poza domem zdradzili, opuścili, o których myślałem, że wiernie pójdą pod sztandarem wolności. Powiedz, że kochasz – uspokoisz mnie... /po chwili/ Biedna, musiałaś drżeć z trwogi, gdy ja w ratuszu byłem wyśmia-ny przez przedajnych, gdy z gorączki pot czoło zalewał. (Chwila milczenia, M. siedzi od K. zupełnie odwrócona) Nic nie mówisz. Czy gniewasz się na mnie, czy moją boleść gorzkości zacisnęła? (zbliża się do Maryi) Maryo, odchmurz brwi, rozpogodź lica, bym wiedział, że w domu znajdę przychylność, ciepło, zabliźnienie ran zadanych. Wszak czeka dziś druga gorąca rozprawa. Dziś jakby piekło zło-żyło się. Muszę z zapaleńcami nową Targowicę ogło-si... kobieto ja będę ciebie potrzebował!... Błagam, dawny uśmiech niech mnie rozbroi a da mi męstwo i wytrwałość!! Maryo, tyle jeszcze walki czeka!

Marya (nie odwraca się)

Bardzo wiele (przegląda książkę)

Karol

Coś cię zasępiło. Czy niezadowoloną jesteś, że przeszkadzam ci nowymi skargami. Zawsze ustąpiłbym, dziś nie mogę,

Marya. (stanowczo)

To mi już dowodzi. Niechcę więcej słuchać. Dowidzenia mój panie, przebądź karę zasłużoną, odjeżdżam do Kornelina.

Karol (przerażony)

Gdzie się podziała dawna Marya, gdzie znikł swobodny płomień mej duszy. (po chwili) Maryo, mam pewne prawa i podstawy, niepozwalam ci jechać do Kornelina. Masz bronić mnie przed zwątpieniem.

Marya (ostro)

Pierwszym warunkiem szczęścia jest wolność i uwalnianie drugich.

Karol (rzuca się na fotel)

Wolność! To mówi osoba która mnie wiąże...

Od strony prawej wchodzą Cybulka i Sikora)

Cybulka (poważnie)

Ramowicz wybrany!

Marya. (radośnie)

Victoria! Karolu dowidzenia! (Wybiega na lewo)

Sikora (rusza K. za ramię.)

Panie, Ramowicz, Ramowicz!

Cybulka (trąca K.)

Odezwij się – co ci jest. Karolu!

Karol (obojętny)

Już wybrany.

Cybulka.

Już. Rada zamało mieszczańska, zawiele inteligentników.

Karol.

Cóż zawołała moja żona.

Sikora.

Pani wołała „victoria”, zapewne z rozpaczy przeniosła się do hotelu „Victoria”, gdyż tu naprzeciw mieszka Ramowicz.

Cybulka.

Nieżartuj panie Sikora, nie czas na to.

Karol.

Smutno mi.

Cybulka.

Nie traćmy ducha. Zabierzemy się do następnych wyborów rady miejskiej, przewalimy kartelowców.

Karol (wstaje)

Nietraćmy ducha. Zaraz, zaczekajcie niech się ogarnę. (po chwili)

A!.. Ona mnie kocha, ona powiedziała, że kocha, mimo to, że słowa tego cudownego nie wymówiła. Jej zazdrość trawiła. Poświadcza mnie, połowa mego szczęścia! Na karę mnie skazała. Bardzo słusznie, gdyż ja całego świata ze=piłem się, a ona nieraz pędziła samotne chwile.

Cybulka. (pocieszająco)

Co za smutne tyrady wygadujesz. Zirytowała się kobiecina, że nie zostałeś wybrany i trochę ci dokuczyła. Moja Wanda dziś także niemożliwa. Gdyż wybory, to wszystkie żony tak głupieją, że każdy mąż w domu krzyż pański przechodzi.

Karol.

Ty Cybulka szczęśliwy, żyjesz tak zgodnie z żoną.

Cybulka.

A tak dobrze mi. Nie porywam się, bom nie zasłużył na wiele, uganiam się dzień cały po fabryce, a żona za mnie gada. Gdyby nie ona i tyle niemiałbyś głosów.

Karol.

Marya mnie kocha. Tak, jestem już spokojny. (weselej) Tyle biedy, że burmistrzem nie zostałem. Mała szkoda krótki żal.

Sikora: No tak, pan musi niejedną biedę przejść, jak każ=

dy człowiek. I ja biedując czasami w Kornelinie, dzieci pior-rzą...

Karol (ściska ręce Sikory i Cybulki)

Wy poczciwi, drodzy, nie opuszczacie zwyciężonego.

Sikora.

Karolu, my zawsze tam, gdzie ludzi pracy szanować umieją.

Karol (do Sikory, rozrzewniony)

Ty obywatelu niejedną drogą chwilę mi przyniosłeś. Powiedźcie, gdzie się kryją ci ludzie, co rozum mają, co godności nie plamią. Was tak mało na świecie. Gdyby nie ty Sikoro, czy mógłbym walczyć! Ty mi Kornelin dzielnie uprawiasz. Wdzięczny ci jestem jak przyjacielowi, bo jesteś mi przyjaciele. Ty nie żaden oficyalista, tyś mój współpracownik, brat po pługu. Powiedz, czem mogę ci przysłużyć się, chciałbym bardzo odwdzięczyć się.

Sikora (serdecznie)

Karolu, chleb twój jem, bo na twojem pracuję. Lecz ja prosty rolnik, potrzeb tak daleko nie mam. Praca i obowiązek dla tych, co sumieniem żyją to przykazanie moje i żony. Dzieciom to w krew wpajam, a jeżeli chcesz

mi sprawić radość, rozpędź myśl, ciężną nieporadnością, bądź przewodnikiem naszym jak najdłużej. (ściska rękę K.)

Karol (rzewnie)

Ty ideale człowieka! Sikoro przyjacielu, niech ci rękę ucałuję (chce S. w rękę całować, Sikora ze zdumieniem wyrywa się) Ty umiesz się tak małem obyć, tak nie wiele potrzebujesz. Namiętności nie gryzą, spokojnie patrzysz, aby sprawiedliwości się działa, masz dzieci i dla nich pracujesz. Ideale człowieka! Daj usta, niech ze czcią ucałuję usta, które takie słowa rodzą (całuje się z Sikorą)

Sikora.

Bóg zapłać, Bóg zapłać!

Karol.

Błogosławieni ci na ziemi, którzy małem obejść się potrafią. Tym żaden potwór ducha nie opęta, są bezpieczni i bezpieczeństwem swoim drugich bronią... Wołaj zdrady mi i kochani. (Do Cybulki) Bracie, będziemy się bronić i stabych bronić do ostatniej kropli! Jaki ja naiwny. Zbidkiego i Maryę moją posądzałem.

<u>Cybulka:</u> Uśmiać się. Żyjący trup straszy ciebie. Jest

czego bać się.

Karol (ożywiony)

Gdy ona kocha i pracować mogę, nic mnie nie strąci! Damowicz mnie zatrwoży? My go przerazimy, gdy napiętnujemy publicznie, że namiętności go pędzi, jednem słowem z podwyższenia zepchniemy – nas nikt nie strąci, tacy jak my zginą wtedy, gdy świat w posadach zadrży! My jesteśmy wybrani, gdyż naszem hasłem, co Sikora powiedział.

Cybulka (wesoło)

Więc dawnym zwyczajem rozstawiaj wino i papierosy, pogawędzimy o różnościach. Przyjdzie Wanda, pani Anna będzie śpiewała i zabawimy się na złość zwycięzców.

Od strony prawej wchodzi Murytto.

Karol (spostrzegając odwraca się do Cybulki)

Zaczekaj jeszcze nie wszystko skończone.

Murytto (staje na środku)

Bardzo mi przykro, szczerze boleję panie Karolu, że w mniej przyjemnem przychodzę poselstwie. Ale cóż robić! Opozycya ma swoje prawa, wam wolno iść o lepsze, nam także wolno.

Karol.

Wszystkim wolno być lepszymi.

Murytto (wyjmuje z kieszeni papier)

Przeczytaj pan to pismo.

Karol (odbiera papier)

Niech pan łaskawie usiądzie, bardzo proszę. (przegląda papier z boleścią) Zacóż mnie ludzie karzą! (do Cybulki) Przeczytaj, litery tańczą jakiegoś piekielnego mazura. (siada na prawo)

Cybulka (czyta. Sikora i Murytto siad. na lewo)

„Obradujący wiec członków akcyjnej spółki dla exportu zboża zaprasza pana Karola Witeckiego jako członka i administracyjnego kierownika tejże spółki, celem oczyszczenia się przed wiecem z zarzutu niedbałości w przyjętym obowiązku i oszustwa na własną korzyść. Wiec nie przesądza sprawy przed tłumaczeniem się pana Witeckiego i tuszy, że tenże pospieszy, by osobiście oczyścić się z zarzutów jego godności uwłaczających. Sprawą zajmie się wybrany sąd honorowy, przeto i wymości przedstawienia swoich arbitrów powinna przynaglić pana Witeckiego do osobistego zjawienia się. Za wiec (mówi) podpisany

prezes rady nadzorczej Kropecki.

Sikora (zrywa się, do Murytty)

To szatańska zmowa.

Karol (do Cybulki, niepewny)

Cóż mam robić.

Cybulka.

Niech wniosą skargę do sądu.

Murytto.

W sądzie będzie gorzej, lżej przez życzliwymi sprawę załagodzić.

Karol (porywa się)

Przez życzliwymi! Gdzie są życzliwi na świecie. Nigdzie nie ma. Każdy mężczyzna szatan, każda kobieta żmija!

Murytto (spokojnie)

Proszę się nie unosić. Podejrzenie winą nie jest, dowody będziemy dopiero ściągać.

Karol (wyrywa Cyb. papier drze i rzuca M. pod nogi)

Za drzwi panie pośle! Niczego nie chcę, nie chcę pracy, bo niewdzięczności czarną spotykam, nie chcę o wolności zamo-tać się, bo niewolnikiem każdy rodzi się i gnuśnieje w kaj-danach!.. Za drzwi panie pośle, bo kijem...

Murytto (gwałtownie wpada na K.)

Milcz, odszczepieńcze, zakało swego nazwiska!

Karol.

Plugawą gębę zamknąć potrafię.

Murytto.

Kulą odpowiem ci błaźnie, smarkaczu, który na siwych porwał się umiesz.

Karol.

Precz ślepcze z moich oczu!

Murytto. (pewny siebie)

Ojciec twój rusza się w grobie. On drży się, że już wstać nie może, ale ja żyję i zrobię jak mi tradycja naka=zuje. Dostaniesz kije smarkaczu, a teraz idź na wieś, bo cię okrzyczą oszustem!

Karol (z boleścią)

Wszędzie wtargną, nawet w duszę wlezą... Oszustem jestem! ... Zabili mnie!

Cybulka (do Murytty)

Widzisz pan jak boleje. Idź pan, później się to załatwi.

Karol: Niech ziemni do ciemnych idą. Wynoś się, bo

wyrzucę!

Murzyłło (w pasji)

Milcz smarkaczu!

Od strony prawej wbiega Amelia, Zabski za nią, od lewej Anna.

Amelia (przelękła)

Boże, co się dzieje.

Karol.

Ciotko on cię prędzej usłucha. Siwi tylko siwych słuchać lubią.

Amelia (urażona)

Karolu, gdzież ja siwa.

Karol (złamany, do Murzyłły)

Więc proszę pana, doprowadź mnie do ostateczności, przyjdę, zrobię co zechcecie, nie drażnij mnie swoim widokiem.

Murzyłło. (gniewnie)

Odchodzę, bom roztropniejszy, ale kij je smarkaczu, kij je za twoją opozycję smarkaczu! Żegnam.

Śpiesznie wychodzi na prawo.

Karol: (załamuje się) Podłym mnie zrobili! Szaleńcy mnie

szaleństwem zarażą!

Amelia.

Co jest, ależ opowiedz nam, palę się z niecierpliwości.

Karol

Przegrałem wszystko, szczęście przegrałem. Na wieczu oskarży-li mnie o złodziejstwo!

Żabski (przejęty)

Na świecie niema królów, niema władców, niema praw prócz namiętności!

Karol.

Gdzie Marya?

Anna

Pojechała do Kornelina.

Karol.

Prawda. Ona uciekła, by tak jak ja nie cierpieć. Skarb mój prawdziwy... My tu jesteśmy. I pocóż jesteśmy. Nato bym Jegomościa udawał, a wy z litością patrzali na zdra-dzonego, przeklętego, wyrzutka!

Żabski.

Równowagi – przyjaciół szuka.

Karol (przygnębiony)

Pozór mi równowagi. Nie chcę być innym od ludzi, chcę być poniżonym, obdartym, wzgardzonym, ale chcę być uczciwym, niesplamionym. Gdy mi to odebrano, nie ma równowagi, jest szał, śmierć, rozpacz, wszystko najstraszniejsze.

Żabski:

I ty to mówisz. Nie upadaj, bo za sobą tylu pociągniesz. Ty masz obowiązek...

Karol.

Jestem człowiekiem i siły mam doczesne. W ratuszu napiłem się zdrady i przedajności, w spółce podcięto mnie. To zawiele! Drodzy, dajcie mi trucizny, albo złoto, które mnie uzdrowi! Dziś naraz, jakby powódź górskiego potoku, który nagle wzbierając, porwie cały dobytek człowieka.

Anna (patrzy Kar. w oczy)

Pamiętaj, że masz wielu kochających cię.

Karol. (patrzy chwilę na Annę, podczas tego słychać westchnienie Amelii) Ostatnia stawka! (nagle wpada w niezwykłą wesołość) Victoria wołała Marynia!

Ta filutka nęka mnie w Kornelinie. Tam jedźmy, wszyscy razem, tam odetchniemy w prostocie nocy księżycowej. Anno, będę pracował, będę o wolność niestrudzony walczył. Czy oszust nie może się poprawić? Będę cię Anno przekonywał, że tak zacnego człowieka jak Adam nie znajdziesz drugiego. Daj jemu wolność, sama się uwolnisz! Tak do Kornelina! Jedźmy do Kornelina! (wybiega na prawo)

Anna. (wychodzi za K.)

I my do Kornelina szczęścia w miłości szukać!

Żabski

Bo wszystko inne puch marny.

Robi się ruch, gdyby obecni chcieli wychodzić

Zasłona spadła.

[illegible]

[illegible] Tam [illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Anna. (wychodzi za K.)

[illegible] do Kornelina [illegible]

Żółek:

[illegible]

[illegible]

Zasłona spada.

Akt czwarty.

Scena przedstawia noc w pełni księżyca. Ogród, drzewa, klomby trawniki oświetlone modrym blaskiem. Na środku altana obrosła winem, w oddali między drzewami widać dach i kominy domu Witeckich. Księżyc na niebie. Na lewo ku przodowi ławka kamienna.

Karol (przechadza się, przygnębiony)

Pobity, skompromitowany. Muszę się kiedy do zwierciadła przyglądnąć, jak taki człowiek wygląda. Zapewne ma wyraz jak nędzarz, który trzy dni nie jadł i jak nałogowy złodziej, który trzy tygodnie nic nie ukradł...

Od strony lewej wchodzi Amelia.

Amelia.

Cóż ty tak sam, taki rozdrażniony. Chodź do nas, lepiej ci będzie.

Karol.

Już mi nigdzie lepiej być nie może. Samotność trochę mnie rozwesela.

Amelia.

Aleś nam się niedobrze robi, gdy na ciebie patrzymy.

Karol.

Wyobraź ciotko człowieka, któremu odmówiono wsparcia, a on ma żonę i dziesięcioro głodnych dzieci. Co powiesz o nim?

Amelia.

Powiem, że jest bardzo nieszczęśliwym.

Karol.

Nietylko rozkoszni życiem, lecz biedny i taki sam nędzny będzie ubolewał nad takim człowiekiem. A ja jestem podobnym. Dzieci ducha mego skrzywdzono, mojej duszy nie dano pożywienia. Ona głodna i nędzna, bo zdeptana przez tych, dla których pracowałem.

Amelia.

Lecz gdy tak będziesz rozpaczał nic nie zyskasz. Zgryziesz się i zeschniesz.

Karol.

Nie staraj się mnie pocieszać. Twoje dobre serce cenię bardzo, lecz po słowach pocieszenia lżej mi nie będzie.

Amelia.

Dziwny jesteś człowiek. Przecież wypada nam pocieszać, niemożna inaczej robić. Serce mi się burzy, kiedy chodzisz samotny i ręce łamiesz.

Karol.

Wy siwi ludzie...

Amelia /przesyra oburzona/

Proszę cię Karolu wyperswaduj sobie, że jestem siwa.

Karol.

Prawda, Ciotka ma jeszcze ciemne włosy. A przecież wolałbym gdyby Ciotka miała siwe włosy. Tak poważnej osobie więcej przystoją siwe.

Amelia.

Jestem poważna, to prawda, lecz zawcześnie mi na siwe włosy. Wnuków niemam i zapewne nie będę miała, to długo nie zapuszczę siwych.

Karol: Ma Ciotka prawo do wnuków, zresztą włosy posi-

swieję. Nie można wstrzymać naturalnego przebiegu.

Amelia.

O, dlaczego nie.

Karol.

Jakto?

Amelia (do siebie)

Ach, mogłam się wygadać. (głośno) O tak, zapomnij o tych fraszkach. Każdemu człowiekowi może się smutek zdarzyć.

Karol.

Coś podobnego wątpię, a gdy się zdarzyło wolę sam poskromić ból i żal, pocieszenia ctoszczą mnie. Dlaczego starsze kobiety tak lubią pocieszać!?

Amelia.

Cóż innego mamy do roboty. Jesteśmy w wieku, w którym na nas nie patrzą, musimy patrzeć na młodych i doszorować. Dlatego, by mieć jakieś zajęcie, pocieszamy, swatamy, kojarzymy.

Karol.

I tak dzień za dniem się wlecze.

Amelia: A tak. Bardzo nieraz przyjemnie.

Karol.

A dobrze ci na świecie?

Amelia.

Dobrze. A komuż to dobrze na świecie. Ciężkie życie każdy wu-je, naokoło tyle nieszczęść, gryźć się o wszystko trzeba.

Karol.

Ciężkie życie każdy wuje. Więc chyba śmierć jest najlżejsza.

Amelia.

Karolu, skąd ci przyszło na bluźnierstwa?

Karol.

Skąd. Ze świata, z domu, zewsząd. Nierozumiem ciotko, co znaczy stracić wiarę w zwycięstwo ideałów i zostać zbrodniarzem. Tyle pracy, a samopomoc rolników runęła jak stara rudera nogą kopnięta. A przecież był to gmach silny, przez tyle kamieni zbudowany.

Amelia.

Co cię to może obchodzić.

Karol.

Że jestem oszustem! O, to nie obchodzi tych, co stracili wstyd stworzony. Ale ja już podejrzany staję się podobnym do

trędowatego. Boli mnie, ~~ż~~ zdaje się, że dusza poraniona, poszarpana, krwawi, a... lecz nikt tego nie rozumie.

Amelia.

Dziwię się tobie. Przyjechałeś tu, aby ułagodzić zmartwienie, a zamiast tego, włóczysz się po ogrodzie i rozpaczasz.

Karol.

Co będę w domu robił? Tam żona rzeczy porządkuje, kufry znosi, w jakąś podróż się wybiera. Gotóż nam naprzać się i zawadzać.

Amelia.

Właśnie szukając cię tutaj nadeszłam, bo Marynia pytała ~~mi~~, gdzie jesteś i co robisz. Widzisz, ona troszczy się o ciebie. Może chce niespodziankę zrobić i wyjechać z tobą, byś się rozerwał.

Karol.

Proszę ciotki, co ciotka o Maryi myśli.

Amelia.

Mam tyle kłopotów z Aneczką, że przyznam się, niebardzo uważam, co Marynia robi. Wiem tyle, przynajmniej Ania mi mówiła, że chce z ciebie zrobić spokojnego szlach-

cica i na plan jej ja się zgodziłam.

Karol (trwożnie)

Jaki plan.

Amelia.

By moja, Aneczka udawała, że w tobie się kocha, tym sposobem ciebie do winy i większej uległości zmusiła po wykryciu spisku. Cóż z tego, kiedy ona w tobie naprawdę zakochała się.

Karol.

Wy spisek na moje czynności namotały. Cześć wam intrygantki!

Amelia (z wyrzutem)

Bo za wiele o wszystkich starałeś się, a własna kieszeń dziurawa.

Karol.

Cały świat i dom podminowany! I pytasz ciotko, dlaczego po ogrodzie błądzę. Ja pale się gorączką, jestem oszołomiony, widzę przed oczyma czarne widma, które straszą.

Amelia.

Idź do Maryni, pomów z nią, nie rób awantur. Pomogę

by to się wyjaśniło, Aneczce zakażę mięszać się do was.

Karol.

A wiem napewno, że Marynia mnie kocha.

Amelia.

Ach, jestem święcie przekonana.

Sikora (za sceną, od str. prawej)

Karolu, hola — gdzie pan.

Karol. (głośno)

Tu, tu jestem.

Wbiega od strony prawej Sikora.

Sikora.

Panie Karolu, ledwie pana znalazłem. Jestem głupi z tego co się dzieje. Pan Żbicki każe zaprzęgać parę siwków i mówił Jędrzejowi, że pani pojedzie na kolej.

Karol (z przebłyskiem dawnej energii)

Ja o tem nic nie wiem

Sikora.

Prawie w to wdać się. Co pan Żbicki ma do pani. Pan albo pani Marya. To mi się jakoś podejrzane wydaje.

Karol: (spokojny znowu, przygnębiony) Podejrzane? Przery=

wilnie, gdzieby ona mogła jechać. Ciotka właśnie powiedzia-
ła, że żona mnie kocha, i nawet obecnie nie dziwię się, że
nie przejmuje się moją klęską, gdyż nigdy nie zajęła sobie,
tym starym sprawami publicznymi. Ale celu podróży nie
mogę się domyśleć.

Sikora. (żywo)

Ja tem bardziej. Możeby pan zechciał pójść i przekonać się.

Karol.

Dobrze byłoby pójść, kiedy nie chcę żonie narzucać się. Gdym
przyjechał, taka była zdziwiona.

Amelia.

Marynia była pewna, że na wieś pójdziesz i w mieście zosta-
niesz.

Karol.

Więc dlaczego chce ze mną jechać, jak mówisz ciotko, gdy
spodziewała się, że w mieście będę.

Amelia.

Mnie się tylko zdaje, a jeżeli tak, musi się przygotować.

Sikora.

To pan jedzie? I nie wie pan o tem?

Karol.

Wiem, już oddaliłem się od wszystkiego, co promienne.

Sikora.

Jak głupi chodzę, przyznam się. To skąd wie pan Zbicki o tem pierwej niż pan.

Karol.

Skąd on wie. Żona mu powiedziała, bo opiekuje się nim i wszystko jemu wcześniej opowiada.

Amelia.

Muszę przecież raz wmięszać się do tego. Zaczekajcie tu, zaraz przyjdę.

Karol.

Idź ciotko i przyprowadź Maryę. Do domu iść nie mogę tam mi duszno.

Amelia.

Naturalnie. O, wykryję robaka. Zawiele sobie Marynia pozwala.

Odchodzi na lewo.

Sikora.

Jak głupi chodzę, przyznam się. I poco pan do Kornelina

przyjechał.

Karol

Po szczęście.

Sikora.

Gdzież jest to szczęście. Pan wygląda jak mara i do siebie gada, a pani w swoim pokoju kuferki pakuje. Co to za gospodarstwo. Wstydź się pan tak żonę brykać pozwalać. Ma się rozumieć, że każdy koń bryka, gdy mu się cugli popuści.

Karol.

Za bardzo kocham tę istotę, bym świat jej bronić woli.

Sikora.

Z kobietami nie można jak z ludźmi. To grymaśne bestye. Radziłbym pójść do domu, wypić kieliszek zalężanej dla animuszu, wsiąść na babę i niech bierzy jeśli zawiniła.

Karol.

Niech bierzy. Kiedy na świecie tak, że niewinni najwięcej też wylewają.

Sikora: Babom nie można wielkich kalumnii przy-

pisywać. Lecz z głupoty tyle dokazuje, że wtedy staje na głowie. A na głupich jedno lekarstwo – strach! Bez filozofii, szach mach, babo przyciągłaś nitość i posłuszeństwo małżeńskie, stul buzię, jeżeli gadasz i wyrzekaj na mnie grzech jaki, to ci pofolguję.

Karol (patrzy w ogród)

St. Mówi się, ktoś idzie tam. (wskazuje za altanę) Moja Marya...

Sikora.

Karolu, więcej męstwa! Mniej myśl, a lepiej będzie ci w życiu. No, chodź do żony, włóż jej w pysio, powiedz, siedź kwoko na ciepłem śmieciu i nie brykaj...

Od strony prawej z głębi wchodzi Zbicki ubrany do podróży.

Sikora.

O! Pan ten chudy. Chodźmy na bok.

Sikora bierze Karola za rękaw i usuwają się obaj do altany.

Zbicki postępuje zwolna naprzód i patrzy w niebo.

Zbicki.

Jak cudna noc księżycowa. Księżyc płynie swobodnie

po przestrzeni bez chmur... tajemnych duchów niepojęta władza odbiera sen ... śpiewa Anna. Ona kocha Karola. Kobietom trzeba zazdrości. Kochać bez końca umieją i nigdy nie znudzą się. Lecz czemu mężczyzna nudzi się i gnuśnieje? Ja nic nie wiem, zawsze Marya księżniczka zawsze wie wszystko...

Duchy dobre! Błagosławię was, żeście pozwoliły spotkać anioła. Byłbym już nie żył, robactwo pożerałoby mizerne ciało, dusza jęczałaby jak złe widziadła nad stawami. Ale ona zjawiła się i dała mi kilka kropel balsamu z lotosu. Coś mi się śmieje, ale tak jak księżyc pieści delikatnie liście swoim blaskiem, tak mi się życie z Maryą uśmiecha. Zatwardziałego grzesznika żaden sakrament nie wzruszy. Próbójmy szczęścia zaznać... Chociaż to wszystko kłamstwo i złudzenie. Nawet, że tak pięknie jak poeta mówię, to kłamstwo! Ja nie mówię, to księżniczka mówi przez moje usta. Ach! na jej łonie umrzeć, przy pieśni duchów!.. /przechadza się chwilę, patrzy w niebo — za chwilkę wchodzi szybko Anna od strony lewej/

Anna.

Pan tu!

Zbicki (powoli odwraca się)

Maryo!

Anna. (głośno)

To nie Marya! Panie, gdzie Karol. Furje zapędziły go może daleko. A mnie trzeba rany Karola umyć. Gdzie Karol, widziałeś go?

Zbicki.

Nie widziałem.

Anna (przechodzi obok altany, żałośnie)

Gdzie Karol! Karolu.

Karol (wychodzi ze Sikorą z altany)

Tu jestem.

Anna

Ach! dobrze że jesteś. Szukam z pragnieniem zbłąkanego na pustyni.

Karol.

I znalazłaś tego, który wody zimnej nie ma. Płonie zwątpieniem i nie ma czem bolesci ugasić.

Zbiski (spostrzega K. z Anną w głębi stojących)

To on! On tu! Duchy opiekuńcze. Umykam z miejsca zapowietrzonego. Maryś, ty już powinnaś być ze mną za górami. (Odchodzi spiesznie na prawo)

Sikora (do siebie)

Co mi szkodzi pójść za nim.

Odchodzi za Zbiskim skradając się.

Anna (namiętna)

Ratuj mnie przed Żabskim! Napada mnie ustawicznie.

Karol.

Mogę tylko [illegible], gdy ku mnie zapłoniesz.

Anna.

Niemogę, bo ty jak słońce mi świecisz.

Karol.

Świecę nieszczęściem! Bo gdzie stąpnę, tam wali się porządek, łuna świeci jak świadectwo zniszczenia. Dlatego zapaliłem i oświeciłem na krótki czas gromadę ludzi by być łuną i pożarem.

Anna.

Nie, ty jesteś moim rycerzem, ty walczyć umiesz i jeżeli

uległ, to na chwilę, gdyż siła potwarców nigdy długo nie trwa.

Karol.

Prócz potwarców są ptaszy, które obojętnymi nazywają się. Jeżeli redaktor Trąbiński mógł mnie opuścić, przedajś się na zawsze.

Anna

Ale obojętni nie wszyscy. Są dusze, które za tobą pójdą choćby w kraj świata.

Karol.

Garstka tylko.

Anna.

Ale ta garstka wyrówna rzeszom tamtych.

Karol.

Ja garstki nie potrzebuję, ci wierni i wiernymi zostaną, a mojem losem i przykazaniem walczyć!

Anna.

Pocóż, by dojść do tego, do czego dziś doszedłeś.

Karol.

Właśnie dlatego ciemno mi w oczach i nie wiem co począć.

Anna.

Kochać mnie.

Karol.

Man kochać mego przyjaciela.

Anna.

Ciebie jedynie i na zawsze.

Karol.

Ja Maryę kocham i ona mnie kocha.

Anna.

Nie kocha!

Karol.

Anno, ostrzegam cię. Nie mów niebacznie. Jestem zdolny cię pożegnać, gdyby to prawdą było. Boję się o tem myśleć. Gdy mnie rzuciły moje ateica kochane, stałem się samolubem i pragnę miłości. Tak, zdobędę się na odwagę, zmuszę Maryę, by ugięła się przed mojem sercem, oplotła mi ręką szyję i szeptała kocham... kocham...

Anna (oplata K. szyję.)

Kocham... kocham... bez końca, bez winy, bez pamięci!..

Karol. (rozmarzony)

Jaka boska pieśń, jak łagodzi ból, jak gra potężny hymn – spokoju i zadowolenia. Margo, Margo, żono moja!

Anna.

Powiedz Anno, kochanko moja.

Karol (nagle odpycha Annę)

Nie! Nigdy tego nie powiem, gdyż nigdy nie będę siebie ani innych kuł w kajdany. Idź do Adama. Daj jemu to czego pragnie, a będę ciebie za siostrę uważał, będę czcił ciebie jak drogowskaz do szczęścia.

Anna.

Kochaj dziś jako niewolnicę, bo wkrótce i tak miłości zapragniesz.

Karol.

Nigdy nałożnej nie będę cenił.

Anna.

Krew ci się wzburzy, gdy będziesz żonatym wdowcem.

Karol (szybko, rozdrażniony)

Za pewnie mówisz. Mogłoby to być prawdą.

Anna (stanowczo)

Jest prawdą.

Karol.

Nie jest. Ty zdradzasz się zbyt wyraźnie. Sobie dobrze radzisz, a mnie zabijasz. Albo sądzisz, że usłucham cię rychlej.

Anna.

Dość się poniżam. Przedtem dumna i harda, dziś klękam przed surowym mężczyzną, bez nie sądź bym podstępnie wszedła. Pogardzasz mną, bez idę do ciebie, gnie w snach i w przeczuciu... Gdybyś się lepiej zastanowił, zmiękłbyś jak wosk dla mnie. Nie mogę wierzyć by tak uczuciowy mężczyzna nie żądał miłości kobiety. Ty pragniesz tego, więc będziesz mnie kochał, bo innej do kochania nie będzie.

Karol (zimny)

Sądzę, że lekarz określiłby stan twój. Ty cierpiącą jesteś! Zdrowa myśl nie zrodzi tego, co słyszę od ciebie.

Anna.

A jednak twój zapał, twoje poświęcenie, twoja praca tak mi się razem wydały, że przywiązałam ci serce i wier-

ność.

Karol.

Tym sposobem do serca nie dojdziesz.

Anna.

Dojdę, bo jest mi rozkosznie, gdy ciebie widzę.

Karol.

Więc zmarnieją twoje przysięgi. Dziś jestem zupełnie inny, podejrzliwy, bez ideałów. Idź na świat gonić namiętności, swego ducha wzlota i szukaj Karola. Jego sobowtór przed tobą stojący czeka przy blasku księżyca na Maryę i czeka domowego ogniska zamrożony między ludźmi.

Anna.

One już minęły i jesteś spokojniejszy. Przecież wspomnienie, myśl o mnie, sięgnij w tajnie rozsądku, odgadnij mnie.

Karol.

Wspomnienie zbyt świeże. Parę godzin upłynęło od chwili, gdym nadzieją żył, gdym słowem zapału wolał do wolności. Przeklęte godziny tuman kurzawy zrobiły z przysłości moich ziomków i przeklęte godziny w któ-

więc ja zostałem prochem, poniżonym.

Anna.

Poniżenie za poniżenie.

Karol.

Za kamienie chcę chlebem odrzucać.

Anna.

A do mnie rzucasz orzechem pogardy.

Karol.

Mówię – będę czcił, gdy zdejmiesz pęty Adamowi.

Anna (chwyta K. za ramię)

Nie chcę, nie chcę nigdy! To przechodzi zakres mego ozatu.

Karol.

Więc sama to zatem rozgrywasz. Anno, rozkazuję rzucić szalone porywy, bielmo zdjąć z oczu, rozkazuję unikać mnie wszędzie, wyjechać stąd z Adamem, kochać go i pracować z nim nie dla namiętności, lecz dla wolności i równości!

(Od strony prawej wchodzi Żabski)

Żabski.

Wieczór sierpniowy natchnął do kazania...

Karol.

Mam przeczucie, że to jedno z ostatnich kazań.

Żalski.

Starego z ostatnich.

Karol.

Ja mam pewność, że Anna będzie ci wzajemną.

Żalski: (ściska rękę K.)

Masz pewność! Złoty, drogi przyjacielu. Masz pewność, że wejdę do raju. Ona taka dobra. Mówiła ci to przed sekundą, unosi się jeszcze w powietrzu para słów szeptanych serdecznych dla mnie. Echo mnie je niesie, mów mi drogi przyjacielu.

Anna.

Przyjaciel tego nie powie, lecz chce by tak było.

Żalski.

Wdzięczny jestem pani i za to.

Karol.

Chowaj wdzięczność na rzeczy godniejsze.

Anna

Zupełnie oszczędność niepotrzebna.

Żabski. (zmienia ton)

Powiedz Karolu, można w miłości znaleść szczęście?

Karol.

Sądzę, że można, ale nie w zmysłowej... Albo ja wiem, co powiedzieć.

Anna. (siada na lewo na ławce pod drzewem)

Któż myśli o ubezpieczaniu, gdy mu się dom pali. Gdy kocham, nigdy nie śledzę dlaczego. Kocham i kocham.

Żabski.

A czemu tyle udręczeń daje miłość do pani.

Anna.

To jest niepotrzebne. I proszę pana bardzo, by nie pozwalał sobie więcej na podobne uwagi.

Karol.

Więc poco przyjechaliśmy do Kornelina.

Żabski. (do Anny)

Powiedziała pani, by w miłości szczęścia szukać.

Anna (obojętnie)

Ja też szukam i Karol

Karol: Ale błędnie szukasz, jesteś podobna do tych, który

za Ramowiczem głosowali. Tumanili samych siebie. Anno w imię powinowactwa, słuchaj mnie jak starszego brata. Ten człowiek, mój druh, znam jego zacne myśli, jego stalowy charakter, patrz w niego!

Anna (patrzy w Karola)

Dziś tylko w ciebie patrzyć mogę.

Karol.

A jutro.

Anna.

Jutro mnie nie obchodzi. Jutro mogę gnić na cmętarzu.

Karol.

Więc ci nie dobrze na ziemi, gdy dzisiejszem żyjesz.

Anna.

W życiu jedyna zaleta rozkosz miłości.

Karol.

Oddam niema tej rozkoszy i którą ci zadaję.

Anna.

Całe jego nieszczęście, że ma prawo to zwracać do mnie co mówi, kompta z minionej przyjaźni.

Żabski: Zabawa wspólnie w dzieciństwie spędzonych.

Anna.

Tego dziś nie pamiętam.

Karol. (załamuje ręce)

Holanie i ty przegrywamy. Nie nie wiem. Zagadka życia wikła się.

Żabski (do Karola)

Chciałem być tobą...

Karol.

Niewarto.

Żabski:

I widzę, że to również znikome. Chcę stworzyć kobiecie i widzę, że pieśń tylko zdolny stworzyć, bo pragnień dla siebie żadnych nie mam. Obecnie nie jestem niczem. Zaskorupiałe myśli – po powrocie z obczyzny tak rozwinęły się potężnie, że poskromić nie mogę. Przyjacielu żegnaj!.. (do Anny) Anno, tem się przekonaj, że marzenie o tobie całego mnie przejmuje. Wyjeżdżam napowrót do Niemiec, tam po hutach będę robotnikiem. Powidzenia drodzy. Zostawiam was, bo tu nieszczęścia moje zległy koło. - Tam nic nie będzie raziło. Smutki obcych ludzi

tyle mnie obeszła, co ulewa rybę.

Karol.

I miłość niewiasty ma ci życie popsuć, młodość zważyć?

Żabski.

Wiem, że źle robię, że kraj mnie woła do pracy. Lecz gdzie jest równowaga – ja nie wiem.

Karol.

Między ludźmi pustynia – skwar...

Anna.

Ale w upojeniu zbawienny płyn.

Żabski.

Niema upojenia, więc żar goni.

Karol.

Widzisz, że jestem bezradny.

Żabski.

Przeznaczenie panuje. Do widzenia druhy.

Karol.

Żartujesz?

Żabski.

Oddalam się. Za wiele widziałem.

Karol.

Wstrzymywać niemamy siły.

Żabski.

Próżno siliłbyś się. (do Anny, wyciąga ręce) Anno! ...
Ani słowa przy rozstaniu. Brylant albo węgiel... Pędź
latawcze! Utykaj przez dnie i latami goniąc marną radość=
wspomnienia! I pocóż taka noc piękna, cicha, mówią=
ca o miłości. Poco księżyc świeci i urąga! W drogę
tułaczu!

Wychodzi na prawo patrząc za Anną.

Karol (stoi w miejscu)

Adamie, będziemy pracować! Wróć za miesiąc.

Żabski (za sceną)

Jestem ścigany, muszę uciekać.

Karol (osłupiały)

I znowu nowy wyłom w sercu. Ha! Śmiać się z mie=
przyjaciół, kiedy ci, którzy mienią się towarzyszami, żyj=
ją gonitwą za czemś, czego dogonić nie są w stanie.
(Siada obok Anny na ławie) Ty straszna zwolenniczko,
swoich przyjaciół gubisz i zdaje ci się, żeś spokojna!

Chyba nie myślisz i w odrętwieniu moralnem płyniesz jak woda spokojna. Lecz przepowiadam ci, jeżeli zacnego młodzieńca nie uwolnisz, przekleństwo spadnie...
Anno ... myśl!

Anna.

Gdy zacznę myśleć będę rozpaczała jak ty, a tego nie chcę
Otrzeźwiałabym się, gdybym miała pojąć, że kogoś o zgubę przyprawiam.

Karol. (wstaje)

To otrzeźwisz się niezadługo, jeżeli za Adamem nie pójdziesz.

Od strony prawej wchodzi Marya ubrana w suknię podróżną.

Anna (ironicznie do Karola)

Marya idzie poznać siebie, rozgrzać skrzepłego.

Karol. (biegnie ku Maryi)

Maryo, tyś przyszła do mnie. Czy wiesz, ile wieków poniżenia rozpaczy przeżyłem. Czy słyszałaś o klęskach. Odjechałaś beze mnie do Kornelina, pozwoliłaś tulić się do zimnej rosy, nie stałaś przy mnie w zwątpieniu.

Marya: Wszak mówiłeś przed kilku dniami o pewności;

o zwycięstwach, o nieomylności twojej teoryi.

Karol.

Nie mów. Wiem co mi zarzucasz. Ale dość tej kary, dość surowości wyroku. Przestań patrzeć na mnie jak obca osoba, wróć mi opiekę, bo w duszy rozpacz, w myśli rozterka, na czole rumieniec hańby!

Marya (obojętna.)

Nie myślę wdawać się z tobą w dłuższe rozmowy. Przychodzę z prośbą.

Karol.

Ty z prośbą, z rozkazem przybywaj mojej pani.

Marya (wskazuje ręką na Annę)

Niech ci rozkazuje kto inny, już niemam prawa.

Karol.

Jakto niemasz prawa, jesteś stróżem mego gniazda.

Marya.

Już dawno nim być przestałam.

Karol.

Więc jesteś wspólniczką moich dni.

Marya: Nie, nie jestem.

Karol. (boleśnie)

Więc to wszystko prawda!

Marya (zimno)

Prawda.

Karol.

Jedziesz odemnie?

Marya.

Jadę

Karol.

Poco, dokąd.

Marya.

Szukać szczęścia i wolności.

Karol.

Gdzie.

Marya.

W pałacach

Karol (zwraca się do Anny)

Anno, bądź świadkiem. Wstydzę się za żonę. Takiego stopnia rozdrażnienia u kobiety nie widziałem.

Anna odchodzi na prawo, za sceną przez chwil kilka ciszy.

chać pieśń miłosną, którą śpiewa. Śpiew wreszcie milknie.

Manya.

Niepotrzebnie jej oddalasz. Robię jawnie, by nieporozumień uniknąć.

Karol.

Zastanów się.

Manya. /siada na lewo na ławce/

Rozważyłam dokładnie i proszę cię o chwilę posłuchania. Od czasu, gdyś tak bardzo idealne zasady w życie wprowadził i zamiast około własnego majątku chodzić, zawiązywałeś spółki i towarzystwa pchając grosz bez względu na żonę, wyśmiany przez tych, który w oczy pochlebstwa prawili...

Karol.

Wratowan tylko lewica mnie wyśmiała.

Manya.

Wszyscy rozsądniejsi wyśmiewali cię zawsze, a ja mogąc mieć własne zdanie na mocy twego zezwolenia, gdyś to wszystko widziała, przestałam cię kochać.

Karol /zakrywa ręką oczy/

Nie mów tego! Nie wierzę, musisz to okazać, nigdy nie zda=

drałaś się...

Marya.

Bo zdradzić się nie chciałam. Dziś wyjeżdżam od ciebie na lat parę.

Karol (jakby nie rozumiał)

Wyjeżdżasz?

Marya.

Wyjeżdżam i proszę o nadesłanie mego posagu w kwocie zł 11.000 pod adresem, który podam listownie. Proszę o przyrzeczenie i dotrzymanie słowa, gdyż w przeciwnym razie utracisz resztę uszanowania. (chce odchodzić)

Karol (nagle, gdyby oprzytomniał, chwyta Marya za rękę) Nie puszczę ciebie!

Marya

Tego się nie obawiam, gdyż uwłóczyłbyś sobie. Stałej kobiety więzić nie masz prawa.

Karol.

Mam prawo szaloną kobietę wstrzymywać od rzucania się w przepaść.

Marya: Życie z tobą leży na dnie przepaści.

Karol.

Przypomnij sobie dawne czasy, gdyś inaczej mówiła. Przedtem moje ideały ty podzielałaś, gwarzyłaś o wspólnem szczęściu. Dziś rozbijasz powodzenie moje i twoje.

Marya.

~~Syn~~ Sam w sprzeczności wpadasz. Walka u ciebie jest celem gonisz za nią — mnie walczyć zabraniasz i mówisz, że cię krzywdzę.

Karol.

Więc o co bijesz się.

Marya.

Walczę o złoto i pieniądze.

Karol.

I chcesz tam ciepło znaleźć!

Marya.

Znajdę materyał do ciepła.

Karol.

Jakim sposobem niebaczna. Czyż sprzedaniem siebie?

Marya.

Sposobem sprytu i roztropności. Ten tylko wyjdzie zwy=

ciężko między gromadą ludzi, kto zdoła tyle zniszczyć, tyle kojarzyć, tak łączyć, że wreszcie stoczy się tem, czego pragnie. Będę taką, bo mam spryt i przebiegłość. Może niedługo powrócę z dowodem. Ty egzaltujesz się, chcesz ustępowaniem ludzi podbić, wyspieraniem sprytnych ~~dla siebie~~ nie mieczem lecz pokorą – wyjdziesz tak jak dziś wygrałeś. Po snach czarownych została ci pustka, zwątpienie, ból i rozpacz. Tu jest różnica, że ciebie wszyscy będą zdradzać i opuszczać, ja o nikogo nie dbając, stawiając siebie na środek operacji – dojdę marzeń.

Karol.

Jakieś straszne, bo ponure i blade proroctwo mi mówisz. Czy w istocie wszyscy mnie opuszczą?

(po chwili, gdyby pomyślał o czemś (zmienia ton)) Nie – ty jesteś w halucynacjach, prawdziwe rzeczy opowiadasz. Ty pierwsza mnie nie opuścisz, bo sobą dajesz przykład słabości złych ludzi. Dajesz świadectwo o sobie, żeś w zapamiętaniu ukuła zdradę, że jedna sprężyna która zawiedzie, zatrzyma sztuczną maszynę!

Czuję cię już za to, że w duszę, przez chwil kilka okrut-
nych podartą, nową myśl ~~złotą~~ wrodziłaś... Tak jest,
za parę dni przejdzie moja martwota, znowu bronią
prawdy uderzę na was i pokonam. Stokrotna zapłata
czeka ciebie za to krwawe upomnienie. Jako zwycięzca
będę używał pokoju, ty poddanka będziesz mi służyć
za żonę w całem jej wielkiem pojęciu, zostaniesz
na mojem gnieździe.

Marya.

Nie. Korneliusz sprzedasz i mnie posag zwrócisz. Nie-
mogę lekkomyślnie puszczać się w świat.

Karol. (pewnie, jasno)

Nie będziesz tego potrzebowała. Ciebie trzeba jak dziecko
opieką otaczać. Sądziłem, że dojrzałaś oddawna, tym-
czasem pstro tobie w głowie jak panience w krótkiej
sukni. Zawarłaś ze mną dobrowolny układ mał-
żeński, przysięgłaś mi miłość i nie podajesz powodów,
jakobym ja był przyczyną twego obecnego zamiaru.
Kłamiesz w obec siebie, czynisz to, co wolną i nie-
podległą zrobiłoś, momentem zaczepienia jest u cię-

bie namiętności i zaślepienie. Użyłaś Anny przewidu-
jąc, że będzie stosowną, bo fanatyzm miłości malu-
je się z każdego jej ruchu i słowa, Ramawirę za-
pewne także namówiłaś do wielu jego podstępów, bo
wspominał coś o tem. Ze siebie zrobiłaś ofiarę, a ja
poto żyję, bym ofiary dźwigał, sam ponosząc ich
cierpienia. Stokrotne zapłaty, niech ci los niepa-
mięta tego coś uczyniła – ja w tej chwili odżyłem
po godzinie zamartwienia. Ty będziesz pierwszą ofia-
rą którą dźwignę, bo tyś mi najdroższa!

Marya.

Więc chcesz przemocą mi wyjazdu zabronić.

Karol.

Dokąd i do kogo jedziesz.

Marya.

Wiem tyle, że od tego wyjeżdżam, którego niekocham.

Karol.

Kochasz! Tylko mania i namiętność to pokrywa i
ciągnie gdzieś, gdzie sama niewiesz...

Marya: Nieumiem źle przewidywać i jadę po pewne

zwycięstwo. Nie sądź, żem przyszła prosić o pozwolenie. Mam prawo mieć własne postanowienia. Dlatego zrobię co chcę, przed odjazdem chciałam tylko otrzymać przyrzeczenie posagu.

Karol.

Masz prawo być samoistną. Tak jest. Lecz wolność, jako jedyny szczebel do szczęścia ziemskiego — to miłość niewolników, dobywania z pod jarzma opętania i ucisku. A twoje pragnienie pęta ciebie. Więc idziesz w niewolę, więc podwójnym obowiązkiem moim jest zakazanie tego.

Marya.

Zrobię, co zechcę. A teraz do sprawy. Dotrzymasz słowa?

Karol.

Dotrzymam.

Marya (zamierza odejść)

Więc niezapomnij — natychmiast.

Karol (surowo)

Więc natychmiast pamiętam. Maryo! — stój! Nie waż się kroku dalej stąpić! Rozkazuję ci i jako

zwycięzca! Nie, nic nie straciłem, utrzymuję się w swoim biegu, inni padną dziesięć razy, ja wytrwam! Masz mi opowiedzieć o wszystkiem, co myślisz!

Marya (stanowczo)

Myślę jechać! /odchodzi, Karol biegnie za nią kilka kroków i chwyta za rękę/

Marya przerażona usiłuje się wyrwać.

Marya /wydaje głośny okrzyk lęku/

A!.. Więc brutalnej siły chcesz użyć! Niegodny faryzeuszu! Oczyść się pierwej z zamierzonej zbrodni, potem będziesz drugim roskazywał.

Karol (puszcza M. stawia się)

Ach! Jestem zbrodniarzem. Maryo...

Od strony prawej wbiega Zbicki.

Zbicki. (zaambarasowany)

Księżniczko, czekałem z tęsknotą. Naraz twój głos zasłyszałem, jaki synogarlicy pędzonej przez jastrzębia.

Karol (w złości, biegnie ku Zbickiemu)

Jak śmiesz pan przerywać ciszę wieczoru. Nie pozwa=

liśmy obrońcy, ja sam wystarczę!

Marya (zastępuje drogę)

Ocuć się pierwej!

Karol (zataczając się)

Ratuj mnie! Żono moja, tracę równowagę!

Marya.

Więc nie masz prawa drogi mi zachodzić.

Karol

Nie mam prawa nawet żonie dobrze radzić. (po chwili) Nie. Dobrze radzić ma prawo nawet nieprzyjaciel. A ja jestem twoim przyjacielem, ukochanym, kocham bez granic... Sikora, hej! Jesteś tam Sikora (bije w altanie)

Sikora wybiega z za altany.

Sikora.

Jestem zawsze przy tobie.

Karol.

Idź i z parobkami moje konie zajmij. Zamknij w stajni i wartę postaw.

Sikora (odchodząc na prawo)

Dobrze się bierze Karolu. Ale byłby rozumu, bo krzykają

jak cielęta.

Zbicki (do Maryi)

Drżę z obawy o nas księżniczko.

Marya.

Odwagi i towarzysz z dobrym duchem.

Zbicki.

Chodź, chodź, byle prędzej aniele.

Marya.

Powiedz mu to, że idziesz ze mną. (popycha Zbickiego) No, płochy gołębiu!

Zbicki (do Karola, który siadł na ławie)

Spełniło się. Panie, ja biorę twego anioła, który stworzon zbłąkane duchy wiódł w rajskie ogrody szczęścia.

Karol. (wstaje, do ~~Maryi~~ Zbickiego)

Ty ją bierzesz?.. (do Maryi) Ty ogładna dałaś się temu trupowi?

Marya.

Masz dotrzymać moje żądania. (do Zbickiego) Duchu, chodź za mną. Księżyc nam sprzyja...

Karol (jakby majaczył) Konie zamknięte...

Marya (do Zbickiego)

Pójdziemy pieszo, jak wygnańcy białym gościńcem nad stawem, gdzie lilie wodne kochają się w promieniach nocnego piana. Chodź! (podaje Zbickiemu rękę i wychodzą za altanę na lewo.)

Karol (patrzy osłupiały)

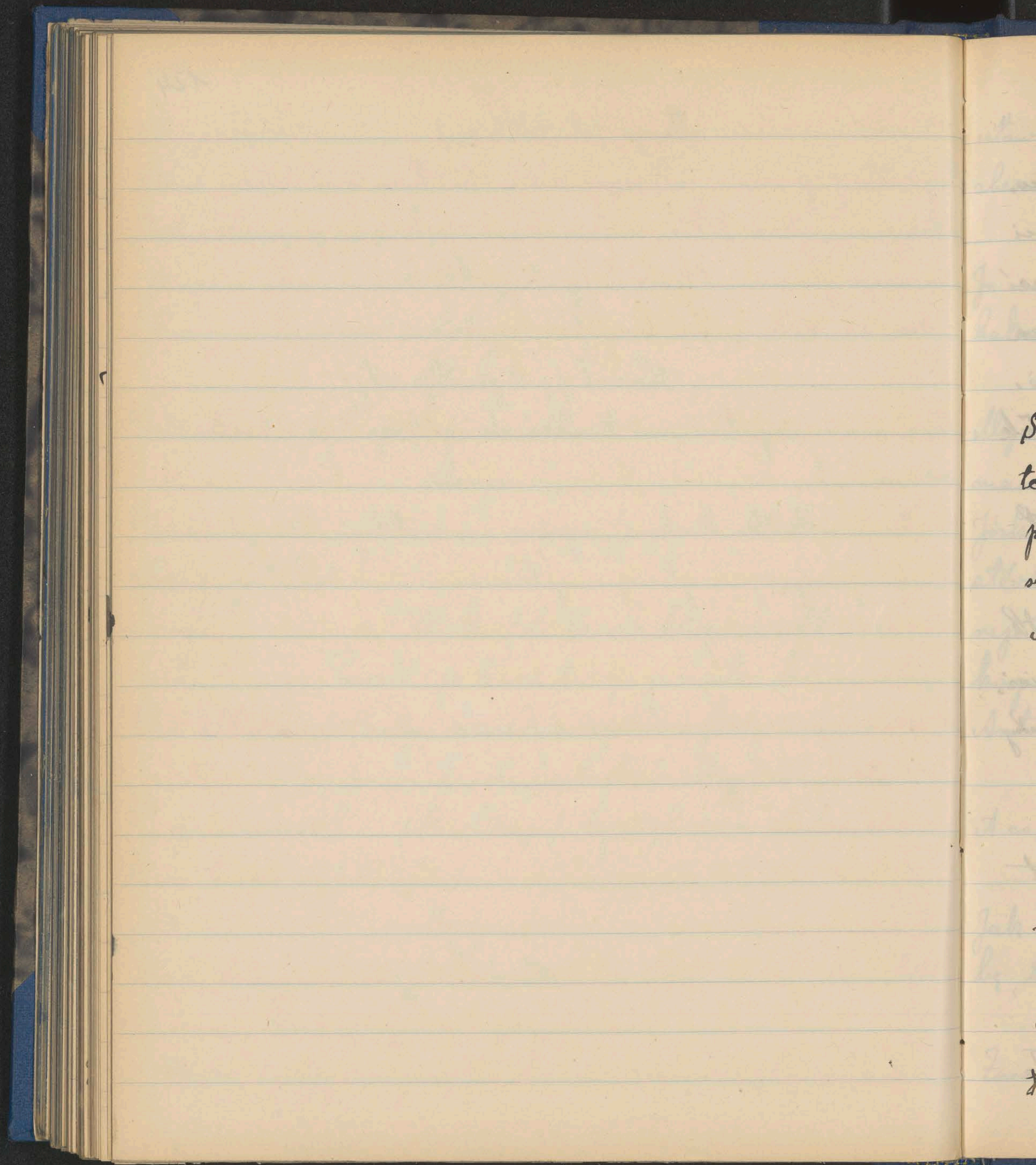
Ona mnie zupełnie nie kocha. Szczęśliwa, że ucieka odemnie!

Biegnie kilka kroków, opiera się o altanę i wybucha przejmującym, głośnym płaczem.

Zasłona spada.

Akt piąty

[illegible]



Akt piąty.

Scena przedstawia dziedziniec warsztatów fabrycznych Witeckiego. Żelaziwo, formy do odlewania żelaza, piasek po lewej stronie wzdłuż ściany z wielkimi oknami warsztatów. W tyle sceny częśś zakryta budynkiem z wysokim czerwonym kominem. Na ścianie pod dachem napis czarnymi literami „Witecki i Ska". Część prawa tyłu sceny opatrzona sztachetami i bramą, przez którą widok na ogrody i miasto. Z prawej strony dom mieszkalny z gankiem obrosłym dzikiem winem. Na lewo ku przodowi cieniste drzewo, ławka i stół ogrodowy. Całość niewielka i skromna.

Scena pusta. Przez okna warsztatów dochodzi zgiełk pracy. Zgrzyt żelaza, maszyn, odgłos kujących młotów, ruch fabryczny. Za chwilę wchodzi od domku Sikora.

Sikora.

Jak głupi chodzę przynam się. /patrzy na zegarek/ Tak, dwunasta minęła 17 minut. Że też człowiek na starość traci pojęcie obowiązku. Mój Jasio to fornoza. Musiałam pisać z nim kaligrafię na popołudnie, boby dostał w szkole za uszy. A tych Jasiów, Boże - mam pełny garniec. Dziesięcioro, ale wszyscy mamy co jeść z łaski Karola. Tak z łaski Karola. /idzie do dzwonka przymocowanego na ścianie w tyle sceny i dzwoni/ Anioł pański zwiastował pannie Maryi. I poczęła się ...

Na odgłos dzwonka wychodzą z warsztatu robotnicy. Zgiełk ustaje, na scenę wchodzą młodzi i starzy ubrani jak do ciężkiej pracy. Jedni się przeciągają i biegną po środku, drudzy wychodzą przez bramę życząc wzajemnie „dobrego południa".

Walenty /do Sikory/

Pan nas dzisiaj ukrzywdził. /dobywa zegarka/ Za 10 minut pół do pierwszej.

Sikora.

No to przyjdziecie o tyle później.

Walenty: Niechcę naprzykrzać się panu Witeckiemu. To

człowiek, co mnie wszystko z zegarkiem w ręku robić, więc zbesta, gdy zacniemy po drugiej.

Sikora.

Ja was wytłumaczę. Uwariacie, zapóźniłem się. Syna ntu= baka trzeba było wozić do szkoły.

Walenty.

Mój chłopak nosi się jakby go kto najął. Bogu dzięki nie= mam z nim kłopotu. Ojej, żeby tyle biedy było, co z moim Józkiem. A jurny, aż miło. Na drugi rok idzie do przemy= słówki za fundusz, który pan Witecki wyrobił. To większy rejwach, że moja baba z obiadem nie przychodzi, a żołądek krzywi się jak w post wielki. (Do jednego z pozostałych ludzi) Antoni, Antoni.

Antoni.

A co tam stary.

Walenty.

Jak wyjdziesz do domu, a zdybiesz tam po drodze moją ba= bę, to nagoni ją, bom głodny.

Antoni. (nakłada fajkę)

Zaraz wyjdę, niech no fajkę dopcham.

Inny robotnik /z bramy/

Już idzie ojciec. Spiony się jâk kacor do wody.

Walenty

Albo będę dobrze spał, albo co się zdarzy, bo mi żona spóźnia się. No coś czekamy panie Sikora.

Sikora.

Nacobyśmy czekali. Ta wszyscy na obiad.

Walenty.

Dobrze, że i na to czekamy. W zimie jużem marniał z niedostatku, aż pan Witecki wydobył mnie. Oj, ten paniśko szczodry, niech Bóg da mu najlepszego.

Sikora.

Ale poczciwemu Bóg zawsze wspomaga. Nażalił się nieborak.

Walenty.

O, ma taką śliczną panię przy sobie, dobrze mu być powinno.

Sikoro.

On z nią nie żyje, to siostra jego żony.

Walenty.

A tu mówią po mieście, że na wiarę żyją, tylko że ona

mądra i dobra, to niékrzywiliśmy się na nią z ukosa. Zwykle takie bestye to niszczą porządnych ludzi.

Sikora.

Nie, oni żyją ze sobą jak rodzeństwo.

Przez bramę wchodzi Walentowa z koszykiem.

Walentowa.

Bardzo ci się ckliło mój panie mężu.

Walenty.

Oj, myślałem, że mnie skręci bez ciebie.

Walentowa.

Albo bez twego obiadu (rozkłada na stole pod drzewem dwa garnki i łyżkę)

Sikora.

Daj wam Boże smacznego (odchodzi na prawo do domu)

Walenty. (siada do stołu, Walentowa stoi)

Daj Boże, dziękujemy.

Walentowa.

Na drodze jakiś panisko dopytywał się o ~~fabrykę~~ pana Witeckiego.

<u>Walenty</u>: A nie gadałem, że ktoś przyjdzie. Pan Sikora spóź-

nił się z dzwonkiem na południe, a tyż z obiadem.

Walentowa.

I pytał się o tę panią, a ja mu powiedziała, że na wiarę żyjó, to także ocy zrobił, ażem się przelękła.

Walenty. (dmucha w łyżkę jedząc)

Naco ci babo mówić zaraz co na myśli. Że też wy nigdy gęby w porządku nie trzymacie.

Walentowa.

A co mi tam, mówiłam jak jest.

Walenty.

Otyż tak nie jest. (dmucha) Za gorące ugotowałaś.

Walentowa (ogląda się)

Coby nie było mężusiu. (spostrzega w bramie Adama Żabskiego) To ten pan się pytał. (głośno) Tutaj panie, tutaj.

Wchodzi na dziedziniec Żabski.

Żabski.

Wiem, wiem, przeczytałem.

Walentowa.

Chodźmy do fabryki jeść, bo może nieładnie. (chce zabierać garnki)

Walenty.

E, ścieć głupia, co ci to, wstydzisz się anglika?

Żabski (zbliża się)

Dobry potudnie.

Walenty.

Dziękujemy, Bóg zapłać. (do żony) To widać nie anglik. (do Żabskiego) A czy pan za interesem.

Żabski.

Nie, jestem znajomy pana Witeckiego.

Walenty.

W kancelaryi w potudnie. (je dalej, Walentowa przy nim siada)

Żabski (idzie na przód na prawo, rozgląda się)

Po takich zawodach jak kot na nogi stanąć, to prześwietnie. Ale niczego nie rozumiem. Hreczkosiej dziś rzemieślnikiem. Coś więcej zajść musiało niż wiem. Pisał tam coś, ale co takiego?.. Cha – przerobiły go baby i stał się egoistą jak wszyscy. Ona go przeinaczyła. Anno! Ty zapewnoście wzkoszna, ale ja ... ale ja ... (rozgląda się)

Z ganku wychodzi Karol. Trochę na starszy, w bluzie robotniczej, pantalony skromne, płócienkowe. Spostrzegł=

szy Żabskiego, biegnie ku niemu i rzuca się na szyję.

Karol

Adasiu! Adasiu kochany! (Żabski nieco ostygnięty)

Żabski.

Jak się masz Karolu. (przygląda się) Istny robotnik z ciebie.

Karol.

Co ci do mnie. Ja nikomu niedogodzę. Ale ty! Skądżeś się wziął nagle. Pisywałem wszędzie, gdzie się spodziewałem że jesteś. Ale ani słóweczkiem nie dałeś znaku. No, rozpowiadaj Adasiu.

Żabski.

A tak. Już rok blisko jak znowu pędzę po świecie bez upamiętania. Nocami trapiły mnie sny straszne. Księżyc świecił, altana w ogrodzie, ty, jacyś inni koło ciebie, ja gonię nimfy, gdy dogonię ująć nie mogę, bo mgła i nic więcej. Dniami pracowałem na kawałek chleba, stryj mi trochę dopomagał i tak się wlekło. Dłużej niemogłem żyć bez jej widoku.

Karol.

Jakże można było nie pisać. Czy w istocie żadnego listu

mego nie otrzymałeś.

Żabski:

Dwa otrzymałem w Monachium.

Karol.

Więc dlaczego mnie nie usłuchałeś.

Żabski:

Chciałem być dobrze wychowanym i nie psuć waszą harmonię.

Karol (zdziwiony)

Jaką harmonię.

Żabski:

Twoją z Anną.

Karol.

Jesteś w urojeniach.

Żabski:

Nic mi nie jest przez wzgląd, że ty stoisz przeciw mnie. Ale gdyby kto inny, czaszkę rozpłatałbym.

Karol.

Ja ci mówię, że moją czaszkę ukoronujesz.

Żabski (zrażony)

Przynajmniej nie drwij. Sam dbasz o siebie, więc ci dobrze.

Ale znęcać się nad opłakaniu godzinę, to nie szlachetnie.

Karol (wesoły)

Łufo, jesteś Adamie. (dobywa papierośnicę) Zapal papierosa i gadaj. Ot, ci ludzie nam się ustąpią i opowiemy sobie po trochę z całego roku. A wiele się stało ciekawych rzeczy zapewniam ciebie.

Żabski.

Uważam.

Walentowie ustępują się i zwolna wychodzą za bramę, jeden z robotników przychodzi i kładzie się pod murem na trawie.

Karol. (siadają pod drzewem)

Musiałem sprzedać Kornelin, by żonie posag spłacić. Za to co zostało chwyciłem się tego, co praktyczniejsze, mogę wiedzieć, że mam o technice pojęcie.

Żabski. (smutny)

A z twojem usposobieniem?

Karol.

Dla ludzi wesoły, dla siebie markotny.

Żabski.

A szczęście?

Karol.

Za górą, bardzo niedaleko.

Żabki.

Dziwię się, gdyż słyszałem inaczej, że w domu.

Karol.

Któż ci to mówił.

Żabki.

Spotkałem kobietę, jak niosła obiad mężowi. Opowiadała mi rzeczy, które mnie barwy kiru nanowo pokazały gdy do kraju przyjechał. Ale dla ciebie były bardzo pomyślne. A wierzę w głos narodu.

Karol.

Bo vox populi najwięcej plotek robi.

Żabki.

Nigdy z palca nie wyssą, tego co mówią.

Karol.

Być może. Jednak gdy usłyszą coś ciekawego, dodadzą tyle rzeczy, że arlekina zrobią z prostej sprawy. Pewnego razu na początku ulicy upadła z pierwszego piętra chusteczka z okna, a przy oknie stała niańka z dzieckiem.

Ktoś to widział, jak niańka wychyliła się patrząc za chustką. Powiedział to babie, baba swojej sąsiadce, że poduszka z okna spadła, sąsiadka innej swojej sąsiadce, że pierzyna, to znowu, że dziecko w pierzynce, tak że na końcu ulicy zrobił się rumor i gwałt, iż z pierwszego piętra z okna wyleciała na kamienie niańka z dzieckiem i zabiła się! Masz przykład, Oj. Adasiu szalony. I poco trzeba ci było uciekać i wierzyć w zabobony i przemarzenie.

Żabski.

Dobrze zrobiłem. Między tobą a Anną byłem intruzem. W okropny ten wieczór, gdy ty szalałeś, ja musiałem być innym. Ta okrutnica, która mi życie złamała, tuląc się do ciebie śmiała mi się w oczy. Nie byłem panem siebie.

Karol.

I popędziłeś w świat zapominać.

Żabski.

Więc sądzisz, że jestem w stanie wierzyć w ciebie dziś bardziej jak przed rokiem.

Karol: Dziś będziesz wierzył, gdy się dowiesz wszystkiego.

Żabki.

Już się dowiedziałem i nieciekawym na więcej.

Karol.

Więc zapomniałeś o Annie?

Żabki.

O Annie! Chciałem zapomnieć – nie mogłem. Jestem szte[illegible]kiem społeczeństwa więc muszę przebywać jedną z jego chorób. Zdrowych między nami nie ma.

Karol.

Wyjątkowo.

Żabki.

W wyjątki nie wierzę.

Karol.

Jeżeli nie wierzysz w zdrowych, wierzysz w uleczalnych.

Żabki.

Mając ciebie za przyjaciela i przykład, nie dziś, ale rok temu – miałem środki lecznicze. Lecz skoroś ty upadł jedyne przeciwieństwo w życiu, miłość szalona do Anny, schyliło mi nadzieję i młodo starca uczyniło. Dziś tem bardziej nie mogę się leczyć, bo zaraza przemogła, ciebie

już nie mam.

Karol.

Mam przykłady ulecżalnych.

Żabski:

Łudzisz się, jak wszyscy prawie łudzą się. Ja już się nie łudzę, że to właśnie najciemniejsze na świecie.

Karol.

Człowiek jest w stanie niemamić się, mam dowody.

Żabski:

Ty sam zachorowałeś po przejściach i dotąd jesteś słabym.

Karol. (wstaje)

Ależ nigdy. Jestem na swojej drodze prostej i bitej. Opowiem ci dokładnie, tem lepiej pojmiesz. Wiara w możność ustawicznego odradzania się w imię wielkich idei musi zwyciężyć! Drugi raz nikt mnie nie podejdzie.

Żabski:

Podejrzywam, że nieszczerze mówisz.

Karol.

Z jakiej przyczyny?

Żabski: Gdyś wpadłeś w katusze poziomej gonitwy za

pożądliwością. Oszukiwałem już siebie i drugich.

Karol.

Ogromnie jesteś przygnębiony.

Żabski.

Komu udało się zadowolić pragnienie, które zrosło się z duszą nierozdzielnie, osiąga ziemską szczęśliwość. Ale ja pędzony jak zaklęty i widząc to samo dokoła, wiem tyle, że kto się śmieje, drugim nakradł. Kto nie kradnie, musi być smutnym.

Karol (wesoły)

Trapisto. Cha, cha, cha, zawstydzę się! (przyjaźnie) Nie podobasz mi się. Godzi się po przyjeździe ani razu nie zapytać, gdzie Anna – czy zdrowa. Ja w odwet nie ufam tobie. Rozpoznaję u ciebie wielką chorobę, prawie śmiertelną, ale dokażę, że uleczę.

Żabski. (ponury)

Wiem gdzie Anna i co robi. Rozkoszne jej przy twoim boku.

Karol (zdumiony)

Oszalałeś!

Żabski: Trzeźwo powiadam, żeb rozwaliłbym, tobie

niemam sumienia przez wzgląd na przeszłe czasy.
Lecz nikomu nie dziwię się, gdy tak smaczny kąsek zagarnie.

Karol (stanowczo)

I dlatego nigdy nie posiędziesz spokoju. Przetrawiwszy najwiękrze chwilowe szczęście, sięgniesz po drugie niepewne, i tak ciągle w gonitwie. Dla siebie chciałbyś i mordowałbyś drugich, by siebie nasycić i patrząc na siebie, widzę oczy zamglone, nerwowo przygryzłe usta. Tolunny jestem, że każda godzina nowe kamienie do mojej budowy narzuca! Zaczekaj chwilę, zaczekaj chwilę...

Odchodzi do domu przez ganek. Kilku robotników już przyszło i śpi na trawie pod murem.

Żabski (rozgląda się)

Ludzie śpią smacznie, chociaż pewnie połedniu ciała ich dostatecznie nie nasyciło. Ale oni głupi, nie myślą. Takich w uwagę nie bierzemy. Lecz czy myślący może być szczęśliwym?.. Chyba, jeżeli...

Spotrzega Annę prowadzoną przez Karola za rękę. Ubrana bardzo letnio, na głowie kapelusz od słońca.

Karol.

Pani Anna wyszła na powitanie pana Adama, bo pan Adam nie był łaskaw o nią zapytać, lecz Hiobowe jęki wyprawiał i mnie podejrzewał. Powiedz wyraźnie coś o mnie myślał.

Żabski (zapatrzony)

Anna...

Anna. (skromnie)

Panu chciało się pamiętać o starej znajomej.

Żabski (nerwowo, rozjaśnia się)

O tej starej znajomej nigdy myśleć nie przestałem. Gdy Karol mi pisał, że pani mieszka u niego, że pani Marysi nie ma, przechodziłem męki jak Ulisses za dymem rodzinnej chaty.

Karol. (do Anny)

Uważasz, on całkiem przeżarty boleścią.

Anna.

Panie Adamie. Cztery pory roku niemal minie, odkąd mieszkam z Karolem. Ale jego prawdziwa dusza mówiła mi wiele przez ten czas, że w końcu śnić o panu zaczę-

stam, który daleko z żalu do mnie odbiegłeś.

Żabski (rozrzewnia się)

Śniłaś o tatarin! Nie ziściło się jego przekleństwo!

Karol.

Niejedne chwile spędzałem z Anną na rozmowie o tobie. Nie moja wina, ale miała sposobność i widziała nieuleczone choroby zaślepionych umysłów. Rozumieć poczęła zadanie ludzi na ziemi.

Anna.

Widziała wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych.

Karol.

I ujrzała siebie nieszczęśliwego wyzyskiwanego przez namiętność, a siebie lekkomyślną, samolubną wyzyskującą. Niech ci sama powie, jak myśleć o tobie zaczęła.

Anna.

Śniło mi się nieraz, że krzyżują pana głową na dół. Wtedy żal ściskał mi serce, płakałam nad dolą pana.

Żabski (rzuca się K. w objęcia)

Drogi przyjacielu! Ty miałeś siłę tak być wielkim, po takim upadku!

Karol.

Ta siła słońca mnie trzyma... No, Adasiu, dość ci powiedziała ta moja wychowanica.

Żabski.

Pani Anno, pozwalasz wejść mi przez furtę Edenu.

Anna. (skromnie)

Nietylko pozwalam, ale pragnę tego całem sercem, jako odrodzona.

Żabski (całuje w rękę)

Bądź błogosławiona.

Anna. (podaje rękę)

Kochaj mnie zawsze tak gorąco.

Żabski:

Po grobu.

Anna.

W pracy i służbie wolności.

Żabski.

Nowe życie wstąpiło, nowe cele. O moja!.. Nasze wspólne duchy będą naszem słońcem.

Karol: A ty sądziłeś, że na wiarę żyjemy.

Żabski.

Tak was oczerniłem (was)

Karol.

Wszyscy obcy są tego zdania, teraz uwierzą, że może człowiek pozbyć się nerwów mimo towarzystwa uroczej kobietki.

Anna.

Niemów tak, bo pan Adam vas jeszcze będzie posądzał.

Żabski.

Niebędę go posądzał i na zawsze upewniłem się o jego przewadze i szczęściu.

Karol.

Niezupełnie lecz prawdopodobnie. Dawniej stanowczo za wiele twierdziłem, dziś mówię, że szczęście blisko, za górą, ale zupełnie nie sprowadza się w dusze ludzkie. My zbliżyć się doń możemy ale tylko przez miłość i wolność — posiadać nigdy, bo cóż my posiadamy — wszystko znikome. Słońce, promienne słońce idei, to ziemskie szczęście jedyne! Cóżby było, gdybym jak osioł zmuszał Maryję do uległości. Powiedziałem i wyję — kocham

ją, nie żądam miłości, gdy niepodobna.

Anna.

Marzy o niej do teraz.

Karol.

I nieraz żal za nią tłumi i dusi. Pojechała, wzięła posag, zrujnowała moje rolnicze upodobania. Niechaj powodzi się jej najszczęśliwiej na świecie, lecz boję się, że ukarze się kiedyś strasznie...

Anna.

A, niewie pan jeszcze. Karol miał proces ze spółką. Wuj Hilary wykupił się od więzienia, bo Karol nie nastawał, Murytło wykupił się również, ale Karol wrzucił się publicznie.

Karol.

I cóż dalej. Murytło z rozpaczy i szlacheckiego uporu rozpił się, ludzie spotykają go nieraz nad ranem w rowie razem z gęśmi i wieprzami. Oto człowiek, który krajowi mógł krocie dobrodziejstw i pracy oddać, a sobie wewnętrzne uczucie.

Anna: /wskazuje na Kar./ Ten zaś utracił wszystko, co

zbudował, nieumytego oko ma jasne!

Ząbski.

Jakto, wszystkie towarzystwa?

Karol.

A tak. Gdy runęła spółka zbożowa, runęły przez Ramowicza podcinane kółka samopomocy. Kilka towarzystw starszej daty ledwie dyszy. Trąbiński z tylu dziećmi zbankrutował, gazetki od pół roku niema, sam dręczy się i ~~pije~~ gra w karty z rozpaczy a dzieci niemają za co do szkoły chodzić.

Ząbski.

Przestraszacie mnie. Z panią Anną chciałbym pracować, chciałbym służąc jej drugim służyć.

Anna (wesoło)

Mój panie znajdzie się zawsze dla nas; to ciężka praca.

Karol (ożywiony)

Tylko nie dwuznacznie. Od chwili, gdy zostałaś narzeczoną przestałaś być samowolną wdówką.

Anna.

Ale stroskani wdowcy uwagi mogą schować dla siebie.

Karol.

Słowami wdowy mogę prosić, aby nareszcie nie przeszkadzały. Otóż Adasiu nie przestraszaj się. Do zawikłanego pojęcia zwycięzkiego bytu na ziemi dołącza się poprzestanie na małem – prostota.

Gdy moja niezapomniana Marynia puściła mnie na wolę Bożą, gdy zostałem bez Kornelina, przemieniłem się na skromnego robotnika. Sikora miał kapitalik do spółki przystąpił i pracujemy.

Żabski.

I zrezygnowałeś z wielkich idei.

Karol.

Nigdy, lecz ostrożniej zaczynam. Życie mam prawdopodobnie długie przed sobą, zacząłem od dołu. Przedtem z góry, nie szło dobrze, spadłem rychło – ale od dołu gdy zacznę, dojdę tak, że nie spadnę. Wybiorę drogi mniej strome.

Wchodzi przez bramę Ramowicz.

Ramowicz.

Uniżony sługa.

Anna (ironicznie)

A - pan prezydent.

Karol (wita się etykietalnie, przedstawia)

Pan Żabski, narzeczony mojej kuzynki.

Ramowicz (podaje rękę Żabskiemu)

Narzeczony... a powinszować! Ależ mam przyjemność i znam pana z zeszłego roku z wyborów.

Żabski.

Tak panie, ja również.

Karol (wskazuje na dom)

Proszę pana w niskie progi.

Ramowicz.

Proszę bardzo. Ja na chwilkę do kochanego pana, wybory do sejmu się zbliżają.

Karol.

Słyszałem o zamiarze kandydowania.

Ramowicz.

Tak. Rutynę dość mam i mówić potrafię.

Karol.

Ale czy zna pan potrzeby mieszkańców.

Ramowicz.

O, te łatwe do poznania. Zresztą program mam gotowy ce obiecujący, Obiecuję trzy nowe szkoły.

Anna.

A na butY i książki dla dzieci... Ależ, panowie pod nie: bem...

Karol (uprzejmie)

Proszę pod dach, proszę pana.

Ramowicz (odchodząc do ganku z Karolem)

Prawdziwie pełne jest powołanie człowieka politycznego.

Karol.

Chwili niema wolnej.

Ramowicz.

Tak jest, tyle pamiętać trzeba, tyle działać...

Odchodzą przez ganek.

Żabski (stoi obok Anny)

Moja... mogę cię nazwać moją...

Anna (serdecznie)

Karol szarpany i bolejący wiecznie nieszczęśliwiec, który do powagi przez ból doszedł, wyrzucił pana tak, że pojęłam.

Dziś moje błędy zniknęły – przebacz pan.

Żabski (w uniesieniu)

Tyś mi życie wróciła, przed tobą ołtarz wystawię.

Anna (podaje rękę)

My oboje przejdziemy przez życie kochając siebie sercem, by wzajemnie doskonaląc się ukochać wszystko co piękne.

Żabski.

O tak... Anno, tak żyć będziemy. (przyciska rękę A. do ust i patrzy w nią.)

Chwila spokoju. Wchodzi przez bramę Hilary w ubraniu podróżnem.

Hilary.

Jak się macie. Dobrze wam się tu dzieje?

Anna (przestraszona)

Wujaszek. Skąd, skąd.

Hilary (rezolutny)

Ona tu za chwilę przybędzie! Wszystko skończone z tamtym, narażaliśmy się, ale przy nas zwycięstwo! Prędko, „gdzie Karol! (spostrzega Ż.) A to pan Żabski.

Anna: Mój narzeczony.

Hilary (zdziwiony)

Narzeczony?

Anna.

Od wielu miesięcy duchowo, przed chwilą to faktem się stało.

Hilary.

A cóż mi Marynia nabajdurzyła, że ty z Karolem...

Anna.

Niezapominająca biedaczka o nim.

Hilary.

Kocha go.

Żalski:

Zięlana miłość!

Anna.

Praktyczna. Cha, cha, cha! (dawny śmiech wesoły) My się lepiej kochać będziemy panie Adamie.

Hilary.

Nie żartuj, lecz powiedz gdzie Karol, potrzeba mi natychmiast.

Z domu wychodzą Karol, Ramowicz i zbliżają się.

Anna: Wychodzi właśnie.

Hilary (idzie ku K.)

Karolu, jak się masz.

Karol (staje zdumiony)

Ojciec skąd się zjawił.

Hilary.

Zjawiłem się z żoną twoją.

Karol.

Z Maryą ..... (po chwili do Ramowicza) Tak jest panie, będę na zebraniu, skorzystam z łaskawego zaproszenia.

Ramowicz. (ugrzeczniony)

Ale krytyka pańska będzie powściągliwa.

Karol.

Zawsze sprawiedliwie. Pochwalę w obec zebranych, co tylko będzie.

Ramowicz.

Zazdroszczę panu wpływów i znaczenia.

Karol.

Pan mnie dziwię się.

Ramowicz.

Pomówimy o tem otwarcie, teraz nie naprzykrzam się, bo

widzę ma pan gości z rodziny. Powodzenia miłego.

Kłania się obecnym, Karol odprowadza go do bramy.

Hilary (łamie ręce)

Ten człowiek wiecznie naraża się.

Olima.

Lecz ani razu nie naraził się jak Wujaszek.

Hilary (prosząco)

Nie masz sumienia starego Wuja tak naciągać!

Olima.

Wujaszek nie stary, tylko starszy jak Mama.

Karol (wraca się)

Pan Ramowicz! Mówiłem, że samarytomania będzie go pcha=ła. Załatwi go kiedyś i ulegnie.

Hilary.

Cóż ci tam Ramowicz. Marynia przyjechała!

Karol (uderzony)

Marysia!? Słuchajcie drodzy, ona nie wyrzekła się mnie!
Jaki zbieg dziwny. Czy zmawialiście się... (po chwili, gdyby dopiero zrozumiał) A!.. ona, ona!..

Hilary: Przed dwoma tygodniami Zbiczki umarł.

Karol.

Umarł.

/Żabski i Anna pod rękę przechadzają się, wreszcie rozmawiają z robotnikiem koło bramy/

Hilary.

Słuchaj no zięciu. Gniewasz się na mnie bardzo?

Karol. /wzruszenie odbija się w głosie/

Ja? Ojciec sam został i zostanie ukarany za swoje winy. Nie mam żadnej urazy.

Hilary.

Tak przerażająco naraziłem się. Dziś mnie taki sumienie dręczy. Ale dziękuję ci, że nie gniewasz się. Będziemy razem, będziemy panami, karty, wino, konie, będziemy kluze kupować!

Karol.

Ojciec taki? Z jakiegoż powodu oderwał się dawny szlachcic?

Hilary /do ucha, ale głośno/

Dowiesz się serdeńku, niedługo Marynia tu przyjedzie. Już jest w mieście, stroi się do ciebie.

Karol: /rozrzewniony/ Dziś pierwszy raz o niej nie myślałem

Pierwszy raz po roku rozwodu, czy to nie jakieś straszne przemnie... Ach! wróci, do mnie, pozwoli się kochać, sama pieszczotów nie poskąpi!

Hilary.

Tak jest. Teraz żyć zacznie porządnie. Co to za pani, cała gęba pani. A jak wyładniała.

Karol.

Wyładniała... o Boże...

Hilary.

Zawsze była ładną, bo moja córka, ale teraz... Gdybym niebył jej ojcem, to zalatałbym za kobietką!.

Karol.

Ona zawsze uroczą była. Ten robak psuł bardzo, który lęgł się w bujnym kwiecie. On dziś wytruty.

Hilary (przerażony)

Skąd wiesz o tem.

Karol.

Wiem, bo wraca mój skarb prawdziwy. Inaczej pójdą młoty teraz na kowadło, inaczej moja ręka będzie lubić pracę!

Hilary.

Ale ja Karolku, teraz będziesz zawsze w rękawiczkach chodził.

Karol.

Nie. Wierzę w odrodzenie, ona tak się uzdrowiła jak Anna. Obie powrócą do tych, który kochać umieją. Patrz, to nowe ~~[illegible]~~ siedlisko moje (wskazuje dokoła) tu jej nowe gniazdko będzie. Tu ludzie pracy i skromności. Patrz tam na murawie śpią ci, którym lepiej mogło być na ziemi.

Hilary.

Ustawicznie narażasz się mój drogi. (Słychać turkot) Pewnie ona mój zięciu!

Anna (od bramy)

Karolu, Marynia przyjechała! (woła) Tu, tu Maryniu!

Wchodzi przez bramę Marya, całuje się w bramie z Anną, wita się z Żabskim. Ubrana bardzo modnie i gustownie idzie wspierając się na parasolce. Hilary ustępuje na bok, siada przy stole i bierze papierosa.

Marya (stoi chwilę w obec Karola)

To ty?

Karol.

Jo Maryo...

Marya.

Przyjmujesz marnotrawną.

Karol. (rzuca się do jej ręki)

Maryo droga! Jak ja cię kocham!

Marya.

Dobre twoje serce przebaczy mi.

Karol.

Nigdy ciebie nie winiłem.

Marya.

Przyjmiesz mnie do serca.

Karol (bierze ją w pół.)

Ja cię wtedy przyjąłem, gdym powiedział pierwszy raz, że kocham. O droga moja! Będziemy tu mieszkać, bez zmącenia będzie płonąć nasza miłość. Widzisz, inaczej teraz, ubogo, bo po ~~[illegible]~~ pożarze dobre gdy gruzy sterczą, dobrze, że tylko sklecito się.

Marya.

Ciebie tylko do szczęścia brakowało. Nie mów o ubóstwie.

Dziś przybywam po serce twoje, ale ja daję mieszkanie. (odstępuje – z dumą) Przepowiadałam zwycięztwo! (wyjmuje papier i podaje Karolowi) Przeczytaj.

Karol (rozwija i czyta)

Testament Zbickiego... (puszcza bezwładnie rękę z papierem)

Marya.

A co!

Hilary (od stołu)

A co Karolku, niemówiłem, że w rękawiczkach będziesz chodził!

Marya.

Milion bez bliskich krewnych.

Karol (zmięszany)

Sumienia niemacie.

Hilary (wstaje)

Naszego? Proszę bardzo.

Karol.

Maryo, czemu zasmuciłaś mnie w dniu tak radosnym.

Marya. (bezmyślnie)

Zasmuciłam mego męża? Czem?

Karol.

...z świstkiem. /rzuca papier na ziemię/

Marya /podnosi/

...kto, rzucasz miliony?

Karol.

...rzucam, bo mi niewolę niosą.

Marya.

...takim razie pogardzasz mną.

Karol.

...Kocham do grobu, ale bez tych pieniędzy.

Marya.

...akto? Tyle moich zabiegów nie uznajesz.

Karol.

Nie. /Jabcki i Olmca zbliżają się/

Marya.

...a i majątek, to jedno.

Karol.

...y bez majątku góry złota warta, z majątkiem nie.

Marya /z grymasem ale słodko/

...e, widzisz Karolu i bawisz się w sentymenta. Tyle pra=

cowałam nad zdobyciem marzenia, wreszcie zdobyłam, prze-szłam do tego, któremu drugą część poświęciłam. Dziś właśnie prędzej niż kiedykolwiek powinieneś dać wzajemność. Dziś mam sposobność żyć w prawdziwem otoczeniu, powiozę ciebie na zamek, ustawię gwardję na kitajce, złoty dzban będzie nam wino nosił. W spokoju i używaniu bogactwa żyć będziemy.

Karol.

Rzuć na chwilę myśl o testamencie. Przyglądnij się temu obejściu, pomnij ile tu westchnień, ile nadziei, ile cichego szczęścia. Patrz się na narzeczonych

Marya.

To wy narzeczeni.

Hilary.

I wyobraź sobie od dawna.

Marya.

Więc umiałeś Karolu naprawdę ciągle mnie kochać.

Karol.

Umiałem, bo tylko ci umieją, co cierpienie znają. W stosach złota i wspaniałym zamku nie będzie nam dobrze.

Patrz na nich. Tak długo szukali się, aż znaleźli swą przystań u wrót prostoty, pracy i swobody. A czy można w zbytku mieć czar miłości. Nie wiem — tam pustota, nudy lub troska o strzeżenie bogactwa.

Marya.

Lecz gdy kochasz w ogień powinieneś skoczyć;

Karol.

Jeśli wiem, że w tym ogniu miłość zgaśnie, nie skoczę.

Marya (nerwowo)

Ach, jak możesz tak mówić. Może masz mnie za ladacznicę. Możesz sądzić, bo pozory o tem aż za wiele mówią. Ale inaczej jak w purpurze kochać nie byłam w możności. Ile to razy na wygnaniu myślałam o tobie. Twe oczy pełne przebaczenia nieraz patrzyły na mnie spokojne, kochające. Tam, za domem zrozumiałam, że kochałam cię, tylko pragnienie, żądza to skryła... Nie wspominaj o niczem dawnem. Niechcę wiedzieć, co było do dnia dzisiejszego. Niechcę wiedzieć, pamiętajcie o tem. Niech się wam zdaje, że dziś narodziłam się milionerką i przyjechałam do stworzonego już raju zabrać męża. Ciebie zabrać Ka=

roku. Porzuć te rumowiska.

Karol.

Te rumowiska od rozpaczy i zagłady mnie uratowały, ty zwróć się do nich, także uratujesz się.

Marya.

Nazwiesz mnie upartą, a przecież nie nawrócę się. Możemy wyjechać stąd daleko, choćby za morze. Wyjedziemy nawet zaraz dziś, wybudujemy willę nad jeziorem Garda, będziemy mieli stosunki, podróże, stolice podwiedzamy, a zawsze razem, zawsze we dwoje.

Karol.

Badałaś twoje uczucie?

Anna.

Ja wierzę, że cię kocha. Kobieta wszystko potrafi.

Żabski.

Ale dlaczego.

Anna.

Dlatego, że przeważnie żyje namiętnością.

Marya. (błagalnie)

Karolu, oceniłam ciebie na dobrowolnem wygnaniu.

Karol. (poważnie)

Jeśli tak, słuchaj złota. Wyrzuć pieniądze, zrzuć te pięk-
ne stroje, wepnij za pas fartuch i kręć wrzeciono mi-
łości. No – pójdź do mnie, w ten niski dom, ufaj me-
mu doświadczeniu, bądź robotnicą.

Hilary (urażony)

Co to, moja córka prędzej hrabiną! Ee Karolku, na-
Jeżić chcesz kłoteckę.

Hodor.

A jeśli nie usłuchasz mojej prośby, dowiedziesz, że nie
kochasz prawdziwie.

Marya. (z żalem)

Wątpisz. Kobiecie należy się i chce miłości, więc mo-
żesz zrozumieć.

Karol.

Przeciw twemu uczuciu mówi porównanie z krezusostwem.

Marya.

Złoto durny niech idzie w zgodnej parze ze złotem świecącem
w oczy. Inaczej zrozumieć nie mogę.

<u>Karol</u>: Lecz nigdy nie chodzi w parze. Tu tobie widnieje

samolubstwo w chęci zadowolenia siebie. Udowodnij c
nem, że dla mnie wszystko poświęcasz.

Marya.

Ty swoje idee do siebie również odnosisz, więc ustąp.

Karol.

Los ciężko nauczył mnie, że do szczęścia może się tylko człowiek zbliżyć, ale nigdy posiąść. A zbliżyć się można największem zaparciem się przed pokusami.

Marya. (nerwowo)

Więc niechcesz mnie i mojej miłości.

Karol (bierze M. za rękę)

Niechcę?..

Marya.

Zbieraj się i jedź.

Karol.

Ty tu zostań.

Marya.

Więc niechcesz mnie.

Karol. (rozżalony)

Kobieto, nie mogę iść z tobą tam, gdzie zniknie nasz

rozwiązanie. Ta wiele nauki sama dałaś. Gdy swej
namiętności nie wyklniesz, ona pędzić cię będzie i pędzić,
utracisz godność twoją, staniesz się zwierzęciem. Póka-
ci Merytłów, Trąbińskich, Ramoniusów bez liku.

Marya.

ęc tu zostanę z majątkiem.

Karol. (przejęty)

tem cię na oczy widzieć nie chcę, to ci przysięgam i
ę cofnę przysięgi! Losy, zagadki, wszystko wzywam!
agnę szczęścia żony i dlatego przysiągłem!

Marya (wpada w rozdrażnienie)

ch!.. Czemu przysiągłeś!

Karol.

do czci prawdy zmusić, jeżeli mnie kochasz.

Marya (rozpaczna)

ofnij przysięgę, wiem co znaczy u ciebie!

Karol (surowo)

Nie cofam.

Marya (zatrwożona)

miałoby się sprawdzić, czem wyśniłam. Czy naprawdę

tak twardym jesteś. Gdzie zwycięstwo! Przyjechałam za-
brać zwyciężonego na moje łono, a on mi prawa dykta-
je. Nie, nie stracę szczęścia gdym u celu. Karolu patrz,
na tym papierze złoto, złoto!

Karol.

Ten papier porodził nas. Spal, miłość go nie ścigała.

Marya.

Mam spalić, co mi rostył zabrało, co zabrało mi Ka-
rola, co mi krew wyssało. Całe dotychczasowe ży-
cie nato się złożyło, że stratą tego ja oddychać prze-
stanę.

Karol.

Ze zniszczeniem papieru zniszczysz zaślepienie.

Marya (ze zgrozą)

Tyś złoto, albo nic i rozpacz.

Anna.

Maryniu co ci jest.

Marya (w ekstazie)

Wy niczego nie byliście świadkami. Nie widzieliście,
jak pracowałam by nasycić się złotem i jego blas-

iem, by żyć w rozkoszy przy świecącym skwarze kruszcu.
Nazwijcie zbrodniarką, potworem... Bo tak było, wy
go nie wiecie. Ale ja wiem doskonale... Więc jak
wiesz Karolu, kochanku żądać bym was oddzieliła...
w zawrześnie umarł, niż mu było przeznaczone, bo
tam byłam przy nim...

Karol.

Wielki Boże...

Marya.

Nie mogę inaczej kochanku, sokole ty mój... Karolu
przyjmij mnie, uciekaj ze mną daleko, zapomnij
co było. Pamiętajcie, że od dziś dnia narodziłam się. Gdy
dostanę powietrze, w którem na świat przyszłam żyć będę
i rozwijać się.

Karol (błagalnie)

Nie, w takim powietrzu zginiesz.

Marya

Wypędzasz!

Karol (wyciąga ręce)

Tylko mnę się do ciebie i chcę wierzyć, że kochasz!

Przy bramie i na dziedzińcu uwijają się kilku ludzi. Sikora wychodzi z ganku, patrzy na zegar i dzwoni do roboty. Przez ten czas nikt nie mówi. Ruch robi się między ludźmi, ci, który spali podnoszą się ociężale.

Marya.

Idę sobie, bo tak postanowiłam, gdym o tobie jako strasznym sądzie myślałam.

Karol.

Daj mi testament. /Marya oddaje papier. Karol drze na drobne kawałki./ Teraz chodź pod dach niski gdzie blisko słońca.

Marya. /odchodzi kilka kroków w głąb/

On zginął wcześniej niż mu było przeznaczone... uwolnił mnie, mąż także uwalnia /głośno/ Walczcie na ziemi o ~~miejsce~~ słońce!

Karol /przerażony/

Żono moja!

Biegnie ku niej; gdy Marya odwraca się w tył ku bramie, dobywa rewolweru, strzela i pada na ziemię.

Żabcki (nagle)

korona po ekwarza!

Robi się ruch, wszyscy biegną ku Maryi.

Zasłona spada.

Koniec.

w Krakowie – październik 1893.

Inhalt der Nummer

Preis 40 Heller

